

# ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOLECZNY

Rok II

Katowice — Wrocław — Szczecin, 26 maja 1946

Nr. 15 (26)

Ewa Maleczyńska

## Sprawa i metoda

Dolny Śląsk jest ziemią nieznaną. Nieznaną nie tylko szaremu człowiekowi z głębi kraju. Nie tylko dzisiejszemu polskiemu Dolnoślązakowi. Jest ziemią — nieznaną w gruncie rzeczy nawet specjalistom w danej dziedzinie, a w jej obrębie specjalistom w zakresie zagadnień śląskich. Ziemią nieznaną pozostanie nawet dla tego, kto by się przegryził przez, idącą w tysiące tomów, śląską literaturę niemiecką. Jako ziemia polska nie był dotąd niemal zupełnie badany i woła, aby go badać, aby patrzeć, liczyć i mierzyć.

Czujemy się np. „międzynarodowo“ odpowiedzialni za poziom życia gospodarczego Dolnego Śląska. Ale nie znamy dokładnie, cyfrowo, rozmiarów zniszczeń i dewastacji wojennych na tym terenie. „Na oko“ tylko taksując, że są olbrzymie, nie możemy jednak już dzisiaj konkretnie wstawić ich w rachunek, odliczyć z naszego konta, wymową cyfr obalić zachodni mit o „marnujących“ się w ręku polskim bogactwach śląskich.

Nieznanym, nieprzebadanym jest Dolny Śląsk w swych związkach z całością przyrody polskiej. Ziemia kryje tysięczne skarby archeologiczne: resztki prastarej przeszłości Śląska, lub czasów wczesnohistorycznych, dotąd nie wydobyte. Światło dzienne i niewykorzystane. Są setki śladów niedawnej jeszcze polskości ziemi dolnośląskiej — niezarejestrowane dotąd przez żadnego historyka. Są dziesiątki polskich druków dolnośląskich — nieznanych Bibliografii Estreichera. Jest stary słowiański folklor — który przetrwał w „prowinjonalnych odrębnościach“ śląskiego folkloru niemieckiego, w „niemieckiej“ formie jakiegoś ciekawego dachu, „niemieckiej“ melodii pieśni, „niemieckiej“ legendzie miejscowej — biedne szczątki, póki ich nikt nie rozpozna, tępiące przez nas samych jako przejawy obcego, wrogiego życia. Jest — nieobliczony nigdy przez nikogo procent nazwisk słowiańskich wśród Niemców dolnośląskich — najlepsze świadectwo procesów germanizacyjnych.

W głębi kraju — (a cóż dopiero w takiej n. p. Anglii!) nikt nie wie ani części tego, co już zdolali się dowiedzieć o swojej ziemi nowi polscy Dolnoślązacy. A oni — zaczynają dopiero spostrzegać, jak mało wiedzą. Rodzi się krzyk: patrzeć! Mierzyć! Liczyć! Badać! Powiedzieć Polsce! Powiedzieć światu! A poznawszy całą prawdę o Śląsku, wdrzeć się weń pazurami po dwakroć mocniej pokochać duszą, nigdy nie oddać. Bo zaledwie przeczuwamy dziś jak bardzo ta ziemia jest naszą: swą przyrodą, swą przeszłością, dzisiejszym, ciężkim trudem dźwigania jej z ruiny. Patrzeć! Liczyć! Badać!

Postulat ten bije ze wszystkich referatów i protokółów dyskusji na zjeździe naukowym, odbytym w kwietniu br. we Wrocławiu z racji otwarcia tamtejszego oddziału Instytutu Śląskiego. Sztab wrocławskich pracowników naukowych stwierdził szereg potrzeb pilnych, palących, ale stwierdził, że nie podoła im sam. Trzeba mu setek oczu, patrzących na każdy metr ziemi i setek rąk — czynnych wszędzie. Padł więc postulat upowszechnienia pracy naukowej na prowincji dolnośląskiej, wciągnięcia do robót pomocniczych jak najszerszych rzesz inteligencji. Postulat to dla Dolnego Śląska wagi pierwszorzędnej — i warto nad nim zastanowić się dłużej.

Wielokierunkowe badania lokalne nie będą na Śląsku rzeczą nową. Forsowali je i prowadzili usilnie Niemcy. Dziesiątki

artykułów i broszur, czy kursów żywego słowa brały za rękę nauczyciela, księdza, lekarza, urzędnika, oficera nawet chłopca lub dziewczynę z organizacji młodzieżowych i pokazywały mu — co i jak badać. Niemcy pracowali oczywiście pod swoim kątem widzenia i wiedzieli, co robią. Powstały dziesiątki czasopism i towarzystw — lokalnych, rozprawek naukowych w sprawozdaniach szkolnych itp. dostarczając szczegółowych danych na najrozmaitsze tematy, niezastąpionego materiału użytkowanego później do syntez i uogólnień. Zalega dziś cała ta literatura półki bibliotek śląskich, zalega półki bibliotek w głębi Niemiec, dociera i do granicy. Przemawia samą liczebnością bibliograficznych pozycji. Szukała niemieckości na Śląsku — a znalazłszy bodaj późną, napływową i pozorną — krzyczy o niej. Zbierała argumenty na zapas w dobie niewzruszalnego, wydawało się, panowania Niemców na Śląsku. Zbierała dziesiątki lat i dziś — kiedy panowanie niemieckie minęło, służy jeszcze do tego, aby wojować o jego powrót.

Czyż nie pora, aby szybko, jak najszybciej analogicznie przemówiła polskość Śląska — wszystkie jej drobniaki i szczegóły? Im głębiej przycypana była popiołem obcego nalotu, tym staranniej setki rąk winny ten popiół przeszucać. Każdy okruczeństwo jest ważne, jest cenny na wagę złota. Tym bardziej, że przez Dolny Śląsk przeszedł huragan wojny i zmienił go w pokryty gruzami bezład, w którym wiele wczoraj jeszcze widocznych śladów polskości już zanikło, a do jutra drugie tyle zniszczy jeszcze — bezpowrotnie, o ile ich nikt nie utrwali. Patrzeć! Badać, liczyć i mierzyć w każdym zakątku kraju, na każdym metrze ziemi! Nie od jutra dopiero. Zaraz.

I nie będzie to tylko naśladowaniem Niemców czy nawet prowincjonalnej kultury naukowej krajów Europy zachodniej. Mamy przecież na Śląsku własną, polską tradycję w tym kierunku. Toć Bandkie — pisząc szereg swych prac, był jeszcze tylko nauczycielem wrocławskiego gimnazjum. Toć Lompa, za prace etnologiczne wyróżniony członkostwem poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk — obok tego, że był tytanicznym działaczem oświatowym, był zwykłym „ludowym“ nauczycielem. A Dzierżoń — szerokiej sławy „Kopernik ula“ znów „zwykłym“ proboszczem. W chwili zaistnienia niepodległości i warunków po temu — wskrzesić nam tylko i zwielokrotnić naszą starą tradycję. I niech służy polskiej racji stanu, która wymaga wiedzy o polskim Dolnym Śląsku.

Polityczny nakaz chwili — to zresztą jeden tylko punkt patrzenia na sprawę szerokiej rozbudowy poszukiwań naukowych na prowincji dolnośląskiej. Upowszechnienie twórczych zainteresowań naukowych, upowszechnienie skromnych bodaj dociekań (na Śląsku i wszędzie równo), to arcyważny czynnik w procesie demokratyzacji kultury i w procesie kształtowania się osobowości dziesiątek i setek ludzi — przede wszystkim pracowników oświatowych.

Celowość i potrzeba ruchu, o którym mowa, jest wyraźna. Zachodzi przecież kilka obaw. Pierwsza dotyczy poziomu i wartości rozbudowanej w ten sposób szeroko produkcji naukowej. Niebezpieczeństwo jest istotne, ale usuwalne. Nie wystarczy rzucić samo hasło. Lokalne dociekania naukowe nie mogą być pozostawione samopas, wydane na łup niekompetencji, dyletantyzmu i grafomaństwa. Pra-

ca winna być zorganizowana, tematyka wysunięta przez świat naukowy z uwzględnieniem hierarchii potrzeb i wykonalności dla pracownika o danym przygotowaniu, sam pracownik przeszkolony w różnorodnej formie od kursów po przez różnorodne broszury i książki aż do nawiązania bliskich osobistych kontaktów z przedstawicielami nauki. Przeszkolenie i doksztalcenie jest tu tym ważniejsze, że pozwoli rozszerzyć bazę rekrutacyjną pracowników

Druga obawa dotyczy wykonalności hasła. Czy przeciętny inteligent, świeży przybysz na Śląsk Dolny, pochłonięty ciężkim trudem pionierskiego montowania warsztatu swej pracy zawodowej, znajdzie czas i siły na zainteresowanie naukowe? Czy to nie jest zbytek, dobry na lata, gdy nastanie normalizacja stosunków, gdy uprzątziemy gruzy? Odpowiedź jest prosta. Wyniki naukowe, dotyczące Dolnego Śląska, potrzebne są zaraz. Nie możemy marzyć o tym, aby wystawić dostateczną dla ich uzyskania armię pracowników zawodowo oddanych tylko nauce i o pełnych kwalifikacjach naukowych. Nie stać nas na to — ani ze względu na rozporządzone środki finansowe, ani ze względu na przetrzebienie szeregów naukowców. Żle by zresztą było, gdyby praca wyłącznie naukowa odebrała całkowicie zbyt wielki procent co najgłębszych ludzi oświaty, spółdzielczości czy administracji. Musimy, jak na wielu polach tak i tu, aby w ogóle ruszyć z miejsca, radzić sobie środkami zastępczymi: kłaść na barki jednego i tego samego człowieka podwójne zadania, i w czasie pracy samej kształtować fachowość pierwowzoru dyletanta. Będzie więc rzeczą czynników kompetentnych uznać potrzebę rozbudowy pracy naukowej na Śląsku Dolnym i szerokim rzeszom chętnych i zdalnych do tej pracy ludzi dać warunki po temu, aby nie rzucając swego właściwego warsztatu pracy, mieli możliwość obsłużenia i „drugiego toru“, możność i drugiej formy służby ziemi śląskiej. Hasło wszechstronne i szybkiego zbadania ziemi śląskiej przez Polaków musi się stać własnością całego społeczeństwa dolnośląskiego. Patrzeć! Szukać i badać! I krzyknąć wreszcie głośno Polsce i światu wydobyta jak najpełniej prawdę o polskim Śląsku Dolnym.

## Perspektywa

## Odry

Z wydanej w marcu roku 1943 w Warszawie konspiracyjnej broszury p. t. „Śląsk wierny ojczyźnie“, której autorem był Zbyszko Bednorz, wyjmujemy następujące słowa, by sobie je wpisali do sztabuhasła ci wszyscy, którzy wciąż jeszcze nie umieją patrzeć na Śląsk.

Żadna z ziem polskich dotknięta wrogiem nie przeżywa sielanki i nie w tym rzecz, by licytować cierpienia, patriotyzm i odpór tej lub innej części kraju. Dobrze, że my tu w środkowej części Polski, którą wrog określił mianem Generalnej Gubernii, mimo niebywałego terroru i przestępstw, mimo łapanek, aresztowań, rozstrzeliwań, zachowujemy pełną godność, żołnierską postawę. Znamy swoją wartość i słuszą, że z męskiej postawy tutejszego społeczeństwa polskiego jesteśmy dumni. Jednak uważać trzeba, by się nie narodził na tym tle pewnego rodzaju egotyzm patriotyczny, byśmy zapatrzawszy się we własne zagadnienia walki z okupantem nie spuścili z oka innych, może donioślejszych spraw tej totalnej wojny i to na bardziej niebezpiecznych terenach niż nasz.

Spójrzmy na Zachodnie Ziemie Rzeczypospolitej Polskiej. Tam w tych przyłączonych dzisiaj do Rzeszy Niemieckiej dzielnicach, narażonych na ileż prężniejszą i radykalniejszą akcję przeciwpolską padnie ostateczne rozstrzygnięcie naszego „być albo nie być“. I tu właśnie, w tej epokowej walce o Polskę Bolesława Chrobrego rola niesłychanej wagi przypada Śląskowi.

Śląsk — tak nam bliski a równocześnie tak daleki. Bliski — krwią, wspólnotą pochodzenia, wspólnotą narodowego życia, tradycją kulturalną, daleki — czym daleki? Trudno to powiedzieć. Może tym, że tak długo będąc pod obcym dachem państwowym, shardział dziwnie w czas bolesnej rozłąki z Macierzą. Może odmiennością metod stosowanych w walce z wrogiem? A może tylko daleki naszą ignorancją, z której rodzą się wszelkie nasze niewypowiedziane żale czy oskarżenia?...“ (Str. 14 — 15).

Dziś do tych słów wiele nie trzeba dodawać. Jeśli nawet w konspiracji umieliśmy tak myśleć o Śląsku, tym więcej winniśmy to uczynić dziś. Rzeczywisty czy urojony patriotyzm, przeciwstawiany ustawicznie Ślązakom, nie jest właściwym zaczątkiem pod prawdziwą zgodę i miłość.



Sobótka, zwana inaczej Ślęzą

Marian Szykowski

# Czesko-polska wymiana książek

Praga, w maju.

Wydział filozoficzny uniwersytetu Karola w Pradze postanowił ofiarować czterem polskim wszechnicom komplet swoich wydawnictw. Gdy ta wiadomość dostała się do Polski, zgłosił się jeszcze piąty uniwersytet w Toruniu, zaczęłam pierwotną uchwałę rozszerzono i na tę wyższą a najmłodszą polską uczelnię, tak że do Polski posłamy pięć kompletów, a to do Warszawy, Łodzi, Wrocławia, Krakowa i Torunia.

Za przykładem uniwersytetu poszedł Słowiański Instytut w Pradze, który dołączy dar od siebie, swoje publikacje, w tej samej mierze pięciu kompletów.

Materialna wartość tych darów jest niemała, moralna — jeszcze większa. Oceniając naprzód pierwszą podając, że dar uniwersytetu obejmuje 26 dzieł w języku czeskim, niemieckim, francuskim i łacińskim z zakresu klasycznej filologii, lingwistyki, historiografii, orientalistyki i muzykologii, m. in. dwa polonica Macurka (Echa polskiego bezkrólewia i Walka Polski z Habsburgami).

Dar słowiańskiego Instytutu jest na ilość i jakość o wiele bogatszy. Razem jest tych dzieł 43 oraz trzy bardzo cenne zbiorowe publikacje: Carpatica (trzy woluminy), Byzantino-slavica (siedem roczników w 10 tomach) i 11 tomów „Rocznika Słowiańskiego Instytutu” — razem 64 woluminów.

Obejmują one bardzo szeroki zakres zagadnień w zakresie slawistyki, pojętej najszerszej (także flora i fauna słowiańskich ziem), ale w myśl zasad Instytutu nie sięgają wstecz poza wiek XIX. W tymczasowym łuku obracają się monografie w bardzo szerokiej skali, od teologii poczynając, poprzez filozofię, literaturę, językoznawstwo, etnografię, sztukę, historię — z położeniem szczególnego nacisku na słowiańską „wzajemność”, czyli wymianę duchowych wartości w słowiańskiej rodzinie.

W tym bogatym zbiorze najpoważniejszą pozycję zajmują bodaj monografie historyczno-literackie. Są wśród nich polonistyczne prace: Heidenreicha o wpływie Mickiewicza na czeską literaturę, Machala o polskim symbolizmie, Szykowskiego o polskim udziale w czeskim odrodzeniu (dotąd dwa tomy). Uzupełnia te polonica studium Taborskiego o Arturze Grottgerze i źródłowa praca Żaczka, zbierająca czeskie pogłosy polskiego powstania z 1863 roku.

Z publikacji zbiorowych wprost bezcenną wartość posiadać będzie wydawnictwo byzantologiczne. To studium trzeba będzie w Polsce zakładać niemal na nowo od podstaw, ponieważ nieliczni jego poważni przedstawiciele, o ile wiem, nie żyją.

Powiedziałem, że większą, niż materialna, jest moralna wartość czeskich darów — i to należy silnie podkreślić, jako światło w mroku „potępięcych swarów” na tury politycznej. To światło pada zawsze od tego czystego ognia, którym pali się kultura na sąsiedzkiej między dwóch zachodnich narodów słowiańskich. Tak było zawsze w przeszłości — tak jest i teraz, kiedy spór o graniczny mur jeszcze nie został załatwiony, ale „wzajemność” w zakresie duchowym została bez wszelkich zgrzytów z obu stron przyjęta — a jako pierwszy materialny dowód, jadą czeskie książki do Polski.

Jadą tam z czeskiej spontanicznej inicjatywy. Wprawdzie wniosek uzasadniał na wydziale polski profesor, ale podjęte dał czeski dziekan, orientalista, prof. Jan Rypka, a uchwałę podjęto bez dyskusji grzmiącym aplauzem. I to jest ta moralna wartość, która zwielokrotnia materialne znaczenie daru na progu nowej historycznej ery.

I sam przez się posiada ten czeski dar znaczenie historyczne, bowiem opiera się na tradycyjnej linii „wzajemności”, która tym sposobem wymiany książkowych podarunków zawiązuje się na początku XIX wieku.

Zawiązuje się ze strony polskiej: w 1815 roku, w czasie obrad wiedeńskiego kongresu, ks. Henryk Lubomirski, kurator narządu im. Ossolińskich, jeden z pierwszych polskich słowianofilów, który syna Jerzego, późniejszego prezesa polskiej de-

legacji na słowiańskim Sejmie w Pradze (1848) posłał na uniwersyteckie studia do Pragi, ofiarował Józefowi Dobrovskiemu, twórcy filologii słowiańskiej, egzemplarz Bentkowskiego „Historii literatury polskiej”.

Nie był to dar indywidualny, **ad hominem**. „Patriarcha” Dobrovsky zastępował wówczas sam jeden odradzającą się kulturę czeską. Tworzył i kierował „szkołą” pierwszego pokolenia czeskich filologów-budźcicieli; i ściągając sam od siebie młodych adeptów nauk slawistycznych z całej Europy, prowadząc z zagranicznymi uczonymi bogatą naukową korespondencję. Udział polski był w tej rozległej akcji naukowo-pedagogicznej czeskiego slawisty bardzo szeroki, autorytet zaś czeskiego uczonego, wysoko w Polsce postawiony, wyraził się nominacją na członka warszawskiego i krakowskiego Tow. Przyjaciół Nauk oraz najwyższym odznaczeniem honorowego członkostwa uniwersytetu w Wilnie (nb. w Wilnie Mickiewicza).

Lubomirskiemu zrewanżował się Dobrovsky natychmiast i to z grubą nawiązką: przesłał na jego ręce cieżkie cimecium, odkrytą w Pilźnie polską Agendę z 1515 roku (krakowski druk Hallera), a nadto Jędrzeja Gałki z Dobczyna Pieśń o Wiklepie — poważne wzbogacenie polskiej literatury reformacyjnej.

Taki jest początek czesko-polskiej „wzajemności” na polu wymiany książek, odtąd trwałej i nieraz bardzo cennej. Wystarczy wspomnieć, że prowadzą i organizują tę wymianę takie osobistości, jak Jan Paweł Woronicz, śpiewak Sybilii, a w niej zarówno **temporis acti** XVIII wieku, jak i czasów, które przyjąć mają (idea słowiańska, ziarna mesjanizmu), biskup, a w końcu prymas Królestwa Polskiego, który w stałych, niemal corocznych przejazdach przez Pragę do wód północno-czeskich, kolportuje polskie wydawnictwa i wzajem wywozi czeskie do Warszawy. Wymienimy Michała Bobrowskiego, pierwszego polskiego stypendystę z Wilna, który spędza kilka miesięcy na slawistycznym studium u Dobrovskiego (z początkiem 1819 roku) i wraca do Wilna, obdarowany książkami, które czytać będzie Mickiewicz i grono filomackie — zwłaszcza od chwili, kiedy znalazł się w Pradze Franciszek Mąkowski, serdeczny druh Mickiewicza, członek filomackiego „rządu”; a przyjechał tutaj poto, żeby nawiązać bezpośrednią łączność między gronem wileńskim a „młodymi Czechami”.

Przybył do Pragi w pamiętnym roku 1822, również jako wileński stypendysta (choć nie slawista) — i przywiózł, on pierwszy, dobrą wiadomość o narodzinach geniusza w dalekim grodzie Gedymina, a przytem zorganizował wymianę, która miała być stałą: za słynne Rękopisy i zbiory ludowych pieśni czesko-słowackich, postarał się o tomiki Mickiewiczowskiej poezji oraz inne wydawnictwa wileńskie, kierowane odtąd na ręce Wacława Hanka, praskiego bibliotekarza, który obejmuje po Dobrovskim funkcję pośrednika i prowadzi ją niezmiernie aż do swej późnej śmierci.

Poprzez pracownię Hanka przeszły niemal dwa pokolenia ludzi z Polski: kongresowej, przed- i polistopadowej, rewolucyjnej 46 i 48 roku, który zdawał się wieścić „wiosnę ludów”.

Przejeżdżali przez Pragę ludzie ze wszystkich ziem polskich, ludzie pióra i ludzie szabli z różnych społecznych warstw z wyjątkiem tej najszerszej dolnej, kmieć, dla której podróż za granicę nie była jeszcze dostępną, chyba w bezmiennym masie żołnierskiej, ciągnącej tędy na francuskie wygnanie; ale do Hanka ci prostaczkowie nie zachodzili i w procesie „wzajemności” udziału nie brali. I brać jeszcze długi czas nie mogli, bowiem ideologia słowiańska wymagała naprzód uświadomienia narodowego, którego tworzyła nadbudowę, co bez wymoszczenia przepaści między Kordianem a chamelem nie było możliwe; tedy i piękne hasło Listopada „za waszą i naszą wolność” ginęło w próżni zduszone głazem pańszczyzny i reakcją absolutnych rządów zaborczych.

Prowadziły więc „wzajemność” na czesko-polskim odcinku w tej pierwszej przedlistopadowej erze z polskiej strony przedstawiciele herbowi (choćby ze zaciągów) a z czeskiej — chłopci: bowiem z tego jednego korzenia odrastał cudownym sposobem cały naród czeski. I myślę, że cień nieufności, który nigdy nie rozproszył się po tej stronie, właśnie w tym rozdziale społecznych klas się urodził.

Przejechali przez Pragę ludzie najwybitniejsi, odwiedzili Hanka, wpisali się mu do pamiętnika, zostawili nieraz książkę, którą on włączał do założonej przez siebie biblioteki słowiańskiej — i nawzajem, obdarzeni czeską publikacją, jechali dalej w świat, przy czym z niejednym z nich Hanka nawiązywał i podtrzymywał korespondencję oraz dalszą wymianę książek.

Tak było z Mickiewiczem, który zatrzymał się w Pradze w lipcu 1829 roku, wpisał się do albumu Hanka i ofiarował mu z dedykacją petersburskie wydanie swoich dzieł, jakby w dalszym ciągu rewanżując się za Rękopisy. Odtąd Hanka nie wypuszcza polskiego twórcę ze swojej opieki, chociaż nie bardzo rozumie jego poezję, zbyt obca swoją duchową zawartością racjonalizmowi czeskich „filologów” (tak ich nazwał Mickiewicz). Posyła pocie do Paryża różne wydawnictwa (głównie własne), za co Mickiewicz rewanżuje się „Panem Tadeuszem” z ofiarowaniem na tytułowej karcie: „Szanownemu Panu Hance poświęca jego przyjaciel i wielbiel Adam Mickiewicz. R. 1838, Maja 29.”

Sypią się inne czeskie dary, które przyciąga autorytet nie poety, ale profesora slawistyki w College de France. I sam główny prawodawca „wzajemności”, Jan Kollar, posyła Mickiewiczowi zbiór sonetów, „Córke Sławy”, uznaną za biblię czeskiego pąslawizmu, podkreślając w dedykacji, że jest to „dar na znameni wzajemności”.

Przydały się Mickiewiczowi bardzo te hohemica, gdy mówił o czeskiej pracy odrodzenia z paryskiej katedry. Te czeskie lekcje należą do najlepszych w kursie słowiańskich literatur: — oparł je Mickiewicz na lekturze czeskich darów książko-

wych, które rozpoczął otrzymywać w Wilnie, na progu życia.

Wspomniawszy głównych uczestników tej wymiany, niepodobna w końcu pominąć ofiarodawcę w skali najszerzej i najbardziej ofiarnej. Był nim szlachcic a nawet „hrabia” galicyjski, Adam z Rościszewa Rościszewski, który choć za granicę nigdy nie jeździł (podobny w tem do IMCI Pana Mikołaja Reya z Nagłowic) i Czechów w większej grupie na ich etnograficznym terenie nigdy nie oglądał — zapłonął jednak szczególną miłością do ich duchowej pracy i popierał ją ze wszelkich sił w latach 1829 do 1844, to jest aż do śmierci na łożu ubogich we lwowskim szpitalu. Bowiem całe swoje niemałe mienie zamożnego ziemianina spod Rzeszowa puścił ten szlachcic nie na karcięta, ani nawet nie na dziewczynki — ale na dwa jakby oczka w głowie: na zakład narodowy im. Ossolińskich we Lwowie i na czeskie Muzeum Narodowe w Pradze. Dwom tym instytucjom oddał wszystko, co posiadał: pieniądze, energię, zapobiegliwość, pasję kolekcjonera i mecenasa. Bohemistyczny zbiór z pierwszej połowy XIX wieku w Ossolineum — a polonistyka w praskim Muzeum, to wszystko dary Rościszewskiego, oznaczone jego herbem i jego exlibrisem — owoc niezmiernie wyteżonej pracy pośredniczącej i organizacyjnej. Prócz książek, kazał ten dziwny „hrabia” czechofil odbijać ryciny, nuty, ryć medale, lepić biusty co znakomitszych Czechów (nie licząc zbieranych także monet). W jednym tylko roku 1837 — jak informuje praskie czasopismo „Kwiaty” — ofiarował Ossolineum 567 takich darów oraz 400 poloniców posłał do Pragi. Popierał Rościszewski nadto gorliwie wzajemne przekłady, finansował słowianofilskie wydawnictwa (lwowski „Sławianin”) i sam w nich ogłaszał wiersze (niezbyt udatne), donosił na ręce Hanka o najważniejszych w Polsce kulturalnych wydarzeniach, podjął myśl zjednoczenia ortografii czeskiej z polską, pośpieszył z większym pieniężnym darem dla młodej Matycy ceskiej — za co figuruje jako jedyny Polak w rządzie jej członków założycieli.

Otrzymał Rościszewski inne jeszcze, jakże bardzo zasłużone tytuły. Krakowskie Tow. Przyj. Nauk mianowało go swoim członkiem, zakład Ossolińskich przyznał tytuł „przedstawiciela potomności”, a praskie muzeum ozdobiło zaszczytem honorowego członka. Chwaliły jego działalność lwowskie „Rozmaitości” i praskie periodica. Poela Adam Gorczyński napisał wiersz pt. „Obywatel”, którego jednak lwowska cenzura nie pozwoliła ogłosić. Wobec tego warto zacytować bodaj urywek tego nieznanego utworu o polskim szlachcicu, który „z Lwowa do Pragi przewozi księgi a wzamian z Pragi inne nam znosi”:

Gdy o kartoflach radzą sąsiedzi,  
Baron na wełnę grosz garnie,  
On twarz Rodaka bije na miedzi,  
Za daną miastu księgarnię.

Odpowiedz, jakim tytułem, mianem  
Godniebys czoło jego ozdobił?  
On Haliczanów gminu wybranym,  
A jeden więcej, niż gminy zrobił.

Obywatelskie dwa spleciesz wieńce,  
Jednym nadgrodzisz jego zasługi,  
A drugi w twojej trzymając ręce,  
Spytasz: gdzie taki Obywatel żyje?

Rzeczywiście: długo trzeba by szukać i nie wiadomo, czyby się znalazł „taki Obywatel drugi”, co również czeską jak polską kulturę niósł na sercu.

W jednym z artykułów pochwalnych zapewnili lwowskie „Rozmaitości”, że „wiekopomna sława” czeka szczerobliwego czechofila. Ale już za życia pozwolono, żeby popadł w nędzę i umarł na szpitalnym łożu. I cień niepamięci pokrył tę postać, ledwo zamknęła oczy na sen śmiertelny.

Wydało mi się na czasie odsłonić zarys sylwetki Obywatela, który cały umarł w niewdzięcznym zapomnieniu. Przypomina go niejako automatycznie czeski dar książek, leżący na tej samej linii „wzajemności”, którą popierał z takim samozaparcie edziedzic Długich Żurowic, galicyjski „hrabia”, Adam Junosza z Rościszewa Rościszewski.



„W rejencji frankfurckiej obok stosunkowo wielkiej liczby obywateli polskich stwierdzić trzeba także lokalne centra mniejszościowe. Wspólną cechą zarówno Polaków, obywateli polskich, jak i należących do mniejszości polskiej jest dążenie na zachód, do Odry, o której nawet w szkole uczyli się, że jest polską rzeką. Obywateli polskich znajdujemy we wszystkich powiatach rejencji frankfurckiej. Są oni pierwszymi czołówkami skierowanymi na zachód naporu polonizacyjnego.”

(Z tajnego memoriału niemieckiego, przeznaczonego dla władz niemieckich i polskiej, wydanego p. t. „Polacy na ziemi Lubuskiej i na Łużycach”, Poznań 1946).

Walt Whitman

# Pionierzy, o pionierzy!

Pionierom polskim, ciągnącym na Zachód, nad Nyse, nad Odre i Bałtyk pieśń o pionierach amerykańskich

poświęca tłumacz

Chodźcie, młodzi o brązowej twarzy,  
szyki twórcze zwarte i gotujące oręż:  
czy broń jest gotowa? wyostrzone już topory?  
Pionierzy, o pionierzy!

Nie popasać nam tu dłużej,  
bo przed nami, druhy, droga, bo przed nami, trud i groza;  
na nas, na młodzieńczych barach, spoczął ciężar świata —  
Pionierzy, o pionierzy!

Młody szczepie mój z Zachodu,  
niecierpliw, żądny czynu, pełen dumy i przyjaźni,  
widzę jak na Zachód dąży, wyprzedzając wszystkich —  
pionierzy, o pionierzy!

Czyż omdlały rasy stare?  
Skróń zwiesiły i zamilkły? spoczywają za morzami?  
My więc brzemie bierzmy na ramiona i pochodnie w rękę!  
Pionierzy, o pionierzy!

Precz rzucamy przeszłość całą,  
Wychylamy się w świat nowy. Potężniejszy i barwniejszy.  
Świat co tryska świeżą siłą. Świat dróg nowych i prac nowych —  
Pionierzy, o pionierzy!

Gromadniejsze wciąż szeregi nasze  
kroczą na dół i do góry, poprzez lasy i parowy;  
każdy szlak, któryśmy wzięli, jest zdobyty już na wieki,  
pionierzy, o pionierzy!

W posiadanie bierzem bory.  
Ujzmiemy rzeki. Wgłąb schodzimy kopalń.  
I ugory zobaczywszy wielkie, pługiem je kroimy.  
Pionierzy, o pionierzy!

Myśmy ludzie z Colorado,  
z gór wysokich, szczytów śnieżnych i płaskowzgórz sinych.  
Z kopalń wyszliśmy. Z rynsztoków. I z zapadłych lasów.  
Pionierzy, o pionierzy!

I z Nebraski i z Arkanasas  
i z Missouri idziem, z głębi kraju, z kontynentów krwią rozlicznych,  
od południa i północy tu ciągniemy, dlonie splótłszy bratnie,  
Pionierzy, o pionierzy!

Niestrudzona, o niezłomna rzeszo!  
Wy najdrożsi z mego szczepu! jakże moje serce dla was bije!  
Jakże cierpię i raduję się wraz z wami! jak was wszystkich ukochałem!  
Pionierzy, o pionierzy!

Niech powstanie Macierz — Pani,  
wzleci, Piękna, nad obłoki, niech gwiazdami się przystroi!  
Schylmy czoła: groźna, w bój gotowa, zbrojna niech króluje!  
Pionierzy, o pionierzy!

Patrzcie, młodzi bojownicy,  
ile ludu zbiera się za wami, ile milionów, ile duchów!  
Patrzaj, mierzą, milcząc nakazują: Wrócić się — nie wolno!  
Pionierzy, o pionierzy!

Naprzód! Ciągle naprzód! szeregami naprzód!  
Już czekają, już zastąpić chcą nas inni, jeśli ktoś z nas padnie.  
Walka i porażka nie nie znaczą: nowe tłumy rwą się naprzód.  
Pionierzy, o pionierzy!

Umrzeć dajcie mi w pochodzie!  
Jest ktoś, kto już osłabił i umiera? Przyszedł kres już jego?  
Jakie szczęście umrzeć w drodze! W lot zajęte jego miejsce!  
Pionierzy, o pionierzy!

Wszystkie tętna świata  
W jeden się zspalają rytm i na Zachód wszystkie pędzą.  
A my z rytmem tym, gromadami, my na czele, podążamy,  
pionierzy, o pionierzy!

Z nami blaski i cienie życia!  
Z nami kształt i treść wszech ludzi: robotnicy w pracy,  
marynarze i rolnicy, pany i niewolni —  
Pionierzy, o pionierzy!

Nieszczęśliwych kochające serca.  
z nami i w więzieniach jeńcy, sprawiedliwi i przestępnii,  
ci co płaczą, co śpiewają, ci co żyją i co giną,  
Pionierzy, o pionierzy!

I ja z wami sercem, duszą,  
Ja, trójjedność dziwna, wspólną z wami krocę drogą,  
brzegiem wód tych ciągnę, cieniem drzew i z duchami ojców —  
Pionierzy, o pionierzy!

Krąży — patrzcie — kula ziemską.  
Dookoła inne globy. Globy, słońca i planeta.  
Dni od słońca jasne, noce snem tajemnic lśniące!  
Pionierzy, o pionierzy!

One razem idą z nami od prawieka  
Moc kierując ojców, gdzie my dziś synowie, gdzie wnukowie jutro,  
już czekając nas zastąpią w dziele: pochód nasz bez końca —  
Pionierzy, o pionierzy!

Hej, Zachodu córy!  
Hej, wy młode i dojrzałe córy, matki wy i żony!  
Nie odłączać wam się tu od mężczyzn! Nie wyjść z ich szeregów!  
Pionierzy, o pionierzy!

Piewcy nadchodzący tych wrzosowisk!  
(Niech poeci starych ziem śpią w całunach, śpiew swój wygłosiwszy) —  
Słyszę tych już, którzy nam zanuca, wstawszy, z nami się złączywszy —  
Pionierzy, o pionierzy!

Nie ma dla nas słodkich wczasów.  
Nie ma wygodni. Szat wygodnych. Wypoczynku i rozmyślań.  
Nie ma zbytku. Bezpieczeństwa. I zabawy pustej.  
Pionierzy, o pionierzy!

Że balują chciwie inni?  
Że leniwi śpią i tyją? Że drzwi zatrzasnęli domów?  
Dla nas strawa niech zostaje prosta, sen na twardej ziemi!  
Pionierzy, o pionierzy!

Noc nas zaskoczyła w drodze?  
Podróż była wczoraj taka trudna? I legliśmy umęczeni do snu?  
Odpocznijcie więc godzinę, myśl niech zejdzie z szlaku —  
Pionierzy, o pionierzy!

Lecz o świcie, na zew werbla,  
kiedy się odezwie zdala — o, już słyszę go rozgłosnie —  
W lot zrywajcie się do drogi: Na placówkę! Pochód rusza!!!  
Pionierzy, o pionierzy!

Spolszczył z angielskiego

Maj 1946

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Zdzisław Hierowski

## Gustaw Morcinek po 15 latach



Morcinek należy do tych pisarzy, których w czasie wojny uśmierciła wszechwładna plotka. Wiadomym było, że zaraz w pierwszych miesiącach okupacji

został aresztowany i znalazł się w obozie koncentracyjnym. A że wojna wlokła się ponad miarę, łatwo było przypuścić, że obciążony mocno w oczach Niemców swoją działalnością pisarską Morcinek nie wytrzymał kilkuletniej kaźni obozowej. Jakkolwiek zupełnie miarodajne wiadomości potwierdziły później fakt, że jednak wytrwał i żyje, losy jego w pierwszych miesiącach niepodległości były niepewne. Dopiero latem ubiegłego roku przyszła wieść, że ocalał szczęśliwie w końcowym etapie wojny i znajduje się we Francji. A dziś leży już przed nami pierwsza powojenna książka Morcinka: „Listy spod morwy“, kreśląca ponure wojenne dzieje tego jedyne chyba z polskich pisarzy, który przeżył pięć lat i siedem miesięcy za drutami koncentracyjnego obozu.

To ocalenie Gustawa Morcinka — bo inaczej chyba faktu tego nazwać nie można — odbiło się szczególnie radosnym echem na Śląsku. On to przecież na przestrzeni dziesięciolecia 1929—1939 niemal samotny reprezentował Śląsk w życiu literackim Polski. Za sprawą jego książek, z których żadna niemal nie skończyła się na pierwszym wydaniu, ziemia śląska, jej ludzie, problemy i przeszłość weszły w piśmiennictwo nasze jako temat i motyw literacki. Wyprzedziła go wprawdzie na krótko Zofia Kossak-Szczucka „Nieznaj-

nym krajem“, kontynuując dalej tematy śląskie zaczerpnięte głównie z odległej przeszłości w „Legnickim polu“ i „Krzyżowcach“. Motywy współczesne Śląska podjęła nieco później Pola Gojawiczyńska Powszednim dniem“ i „Ziemią Elżbiety“, po niej zaś Halina Krahelska „Zdradą Heńka Kubisza“. Ale nic nie umniejszy znaczenia faktu, że Morcinek pierwszy wniósł rodzinny wkład artystyczny śląski o trwałej wartości do literatury polskiej, podczas gdy twórczość poprzedzających go na Śląsku pisarzy w ogólnym obrazie naszego piśmiennictwa dochodziła najwyżej do godności martwych pozycji bibliograficznych i to w dodatku dosyć skąpo notowanych.

Start literacki Morcinka był piorunujący. W ciągu pięciu lat od r. 1929 do 1933 rzucił na rynek siedem książek, wśród nich tysięcznicowy „Wyrębany chodnik“ i monografię literacką Śląska w wegnerowskim cyklu „Cuda Polski“. A że miał zawsze wyjątkowe szczęście do konkursów i nagród rozgłos zyskał tym szybciej. To, że stał się rychło jednym z najpopularniejszych współczesnych pisarzy polskich, jest już dziełem jego talentu.

To zaskoczenie czytelników serią siedmiu książek w tak krótkim czasie było możliwe chyba dlatego, że Morcinek do debiutu przygotowywał się długo. Jedna

z nowel pierwszego jego tomu ukazała się już w druku w roku 1920. Od tego czasu upłynęło lat dziewięć, zanim recenzenci i czytająca publiczność przyjęła z zainteresowaniem i żywą zyczliwością zbiór opowiadań i nowel „Serce za tamą“. Debiut był nierówny. Obok chwytających od razu tematyką i jej ujęciem pięciu nowel górniczych, nie wyróżniające się niczym specjalnym obrazki wiejskie, opowiadania żołnierskie i wspomnienia osobiste. W rok później słaba zresztą i pełna artystycznych niedociągnięć powieść „Byli dwaj bracia“ zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie „Przewodnika Katolickiego“, a zakrojona na wielką skalę powieść epopeiczna „Wyrębany chodnik“ czyni Morcinka zasłużenie laureatem śląskiej nagrody literackiej. Rok 1931 przynosi pierwszą powieść Morcinka dla młodzieży: „Narodziny serca“. W roku następnym ukazuje się „Chleb na kamieniu“, w roku 1933 monografia „Śląsk“ i druga powieść dla młodzieży „Gwiazdy w studni“.

Na tym wyliczeniu należy się zatrzymać. Tu bowiem mniej więcej zamyka się pierwszy okres twórczości Morcinka, okres poświęcony wyłącznie Śląskowi, a w dużej mierze górnikowi i kopalni. Zwłaszcza w zakresie tego drugiego tematu czuł się Morcinek pewnie. Skorygował więc swój debiut, usunął z „Serca za

tamą", opowiadania wiejskie, żołnierskie i autobiograficzne, do pozostałych górniczych nowel dodał cztery dalsze i w ten sposób uczynił w drugim wydaniu z tego tomu zwartą i jednolitą całość artystyczną, która w tej formie pozostanie już jako trwała pozycja w jego twórczości. Drugim zbliżonym do „Serca za tamą“ zbiorem nowel jest „Chleb na kamieniu“. Osobisty sentyment autora i skłonność do ulegania mu sprawiły, że życie kopalni i sylwetka duchowa górnika wyszły w tych opowiadaniach trochę jednostronnie wystylizowane. Jednostajność i powtarzanie się motywów obok pewnej tendencji do szablonowego ich ujmowania, tę cechę górniczych nowel Morcinka podkreślają i uwydatniają, do czego dołącza się jeszcze zarysowująca się już skłonność do pewnych manier stylistycznych.

Te same cechy osłabiły wartość artystyczną największego dzieła Morcinka, dwutomowej epepe „Wyrębany chodnik“. W powieści tej podjął on dzieło o wielkim zakroju. Chciał dać obraz losów Śląska Górnego i Cieszyńskiego w okresie pierwszego dwudziestolecia naszego wieku aż do momentu wkroczenia wojsk polskich na Górny Śląsk. Włożył w tę powieść ogrom materiału faktycznego, wplotł olbrzymią ilość wątków i epizodów historycznych, wprowadził liczną i bogatą galerię typowych dla tych czasów i stosunków postaci, tak że ciekawym czytelnik odnajdzie tu przynajmniej w skrócie to wszystko, co w tym okresie było na Śląsku ważne i charakterystyczne. Są więc najróżnorodniejsze konflikty społeczno-gospodarcze, narodowe i polityczne, są najbardziej pogmatwane wątki życia, jest walka o Śląsk Cieszyński, są wszystkie trzy powstania górnośląskie z plebiscytem, obozami uchodźców śląskich, komitetem pomocy dla Górnego Śląska w Warszawie, są strajki szkolne i robotnicze, katastrofy kopalniane, śluby, zabawy i pogrzeby, są Polacy na wszystkich frontach pierwszej wojny światowej, znajduje się nawet tak indywidualny motyw jak tragedia śląskiego Drzymały, Walentego Chroszcza, włączona w losy jednego z głównych bohaterów powieści. Całego tego olbrzymiego materiału nie zdołał Morcinek opanować artystycznie. Powieść rozplanowana jest w dużym stopniu sztucznie, poszczególne wątki dosyć luźne i mało konsekwentnie powiązane, pewne partie potraktowane zbyt powierzchownie i pośpiesznie, a w rysunku psychologicznym powieści razi często prymitywizm i skłonność do uproszczeń. Te cechy „Wyrębanego chodnika“ sprawiły, że Stefan Kołaczkowski, wysoko ceniący tę powieść i samego Morcinka, nazwał książkę tę „próbą epepe“. Określenie to charakteryzuje „Wyrębany chodnik“ najtrafniej i dynajmniej go nie dyskwalifikuje. Wydaje się, że nie prędko jakiś inny pisarz polski podejmie w stosunku do Śląska próbę podobną i dlatego „Wyrębany chodnik“ na dłuższy okres czasu zachowa wartość i znaczenie powieściowej epepe śląskiej.

Po tych trzech omówionych książkach zaznacza się w twórczości Morcinka zwrot, który początkowo polega na skierowaniu zainteresowań pisarskich do młodzieży, a w dalszym przebiegu charakteryzuje się silną przewagą tematów zaczerpniętych z życia szkoły, dziecka i nauczyciela. Motywy śląskie przez to bynajmniej nie zanikają, a zwłaszcza motywy górnicze. Zejdą jednak na plan nieco dalszy. Kopalnia dojdzie jeszcze raz do głosu i wysunie się na plan pierwszy w powieści psychologicznej z 1936 r. „Inżynier Szeruda“, a nie tak już wybitną ale ważną rolę odegra w licznych opowiadaniach dla młodzieży i niektórych dla tej samej kategorii czytelników przeznaczonych powieściach.

Charakterystyczną cechą powieści i opowiadań młodzieżowych Morcinka jest ich środowisko i ich bohaterowie. Środowisko to — to miejski proletariats robotniczy, osady przemysłowe skupione wokół kopalni czy hut, a bohaterowie to górnicy, hutnicy pracujący jeszcze lub najczęściej pozbawieni pracy przez wypadek, katastrofę lub podeszły wiek. Obok nich występują młodzi chłopcy, noszący na sobie piętno nędzy, zdemoralizowani, noszący w duszach jej jad, a w chuderlawych ciałach zarodki szybkiej śmierci. Jest w tych powieściach pewna skłon-

ność do jaskrawości w opisywaniu nędzy i wywołanej nią demoralizacji młodych bohaterów. Widoczne to jest zwłaszcza w powieści „Gwiazdy w studni“, ale Morcinek potrafił zjawisko to szybko opanować i w krótkim czasie stał się jednym z najbardziej wśród młodzieży popularnych pisarzy. Pomiedzy nim a jego młodymi czytelnikami nawiązał się serdeczny i bliski kontakt. Otrzymywał stale ze wszystkich stron kraju olbrzymie ilości listów zbiorowych i indywidualnych, odpisywał na nie zawsze, a często odwiedzał także swoich młodych sympatyków, zacieśniając w ten sposób wysnuwające się z jego książek i z przeżyć jego bohaterów węzły przyjaźni.

Twórczość dla młodzieży w działalności pisarskiej Morcinka zajmuje ilościowo i artystycznie miejsce bardzo poważne. Przynosi ona wiele świetnych pozycji o nieprzemijającej wartości. Odnosi się wrażenie, że Morcinek w tych właśnie książkach wyżywa się najlepiej jako człowiek i jako pisarz. Głęboka wiara w serce ludzkie, w przyrodzoną, daną człowiekowi od Boga dobroć, wiara w jej twórczą, niezachwianą siłę, serdeczne umiłowanie dzieci, przyrody i zwierząt, doskonała, zdobyta w bezpośrednim obcowaniu znajomość psychiki dziecięcej — wszystko to sprawia, że Morcinek od pierwszej strony podbija i zdobywa młodego czytelnika. Dołączają się do tego zalety jego pióra: pełen prostoty i gawędziarskiej swobody tok opowiadania, język gładki, żywy, plastyczny, okraszony z lekką gwarą, niewymuszony szczerzy humor, jasność i pogoda w spojrzeniu na świat i ludzi. Akcja jego powieści i opowiadań dla młodzieży toczy się wartko, jest urozmaicona, przynosi coraz nowe sytuacje, przerzuca się w coraz nowe miejsca i środowiska, nie wychodząc przy tym z kręgu rzeczy codziennych i zwyczajnych, o które dziecko w życiu na każdym kroku się ociera, a których nie rozumie i nie docenia. Mistrzem okazuje się zwłaszcza Morcinek w odtwarzaniu życia szkoły. Z tego środowiska zaczerpnięte tematy opracowuje w sposób stawiający te książki już na pograniczu literatury dla młodzieży i literatury dla dorosłych. Tom tego gatunku opowiadań

p. t. „Gołębie na dachu“ należy do najlepszych książek Morcinka obok obfitującej w motywy szkolne powieści dla młodzieży „Ludzie są dobrzy“. Powodzenie tych książek oraz zamiłowanie, z jakim autor podchodzi do tego tematu, przyniosły w rezultacie dalsze rzeczy ze szkolnego cyklu, zbiory opowiadań „W najmłodszym lesie“ i „Miasteczko nad rzeką“. Rzadkie u nas połączenie talentu pisarskiego z poważnie potraktowanym zawodem nauczycielskim dało w twórczości Morcinka niezwykle dodatnie, trwałe wartości rezultaty literackie. Obok książek związanych tematycznie ze szkołą najpoważniejszym osiągnięciem Morcinka w zakresie powieści dla młodzieży jest książka „Po kamienistej drodze“, powieść złożona w hołdzie matce, będąca poematem miłości macierzyńskiej i synowskiej. Gdybyśmy chcieli używać romantycznych określeń, które zresztą do Morcinka mają szczególne zastosowanie — przez wzgląd zwłaszcza na jego twórczość dla młodzieży należało by nazwać go „poetą serca“.

Zawodowe zainteresowania Morcinka szkołą, nauczycielem i dzieckiem miały dać jeszcze jeden rezultat, zapowiadana przez niego bezpośrednio przed wojną powieść „Nauczycielka“. Do zrealizowania tego zamiaru niestety nie doszło, podobnie zresztą jak nie doprowadził on do końca drugiej swojej epepe śląskiej, poświęconej postaci śląskiego żołnierza Ondraszka. Jak wynika z kilku ogłoszonych w czasopiśmie przed wojną rozdziałów, miała to być obszerna powieść historyczna, dająca rozległy obraz Śląska w XVII wieku. Janosik miał otrzymać ideowe powiązanie z działalnością Kostki Napierńskiego i ukazać się jako bojownik o prawa ludu i reformator społeczny. Nie wiadomo, czy Morcinek do podjętego tematu powróci. Ogłoszone fragmenty pozwalały spodziewać się dzieła o wartościach poważnych. Pracę nad nim prowadził Morcinek przez kilka lat, podejmując skrupulatne badania i przygotowując się do nich rzetelnie.

Niewielka, blisko stustronicowa książeczka „Listy spod morwy“, która ukazała się niedawno na półkach księgarskich, to ujęty w formę przyjacielskich listów z Francji, gdzie Morcinek niedawno prze-

bywał, pamiętnik jego przeżyć wojennych. Odnajdujemy w niej wszystkie typowe cechy pióra Morcinka, ale rzecz sama jest specjalnie ciekawa przez sposób ujęcia tematu. To nie rzeczowa, chronologicznie uporządkowana relacja z przeżyć w obozie koncentracyjnym. To wybrane ich fragmenty, fragmenty najbardziej charakterystyczne, pozwalające na określenie postawy pisarza wobec rozgrywających się wokół niego zdarzeń, na refleksję, sąd i ocenę zbrodniarzy i ich ofiar. Książka to pełna gorczy i bólu, ale przepojona zarazem pragnieniem czasów, w których by człowiek zapomniawszy doznanych krzywd, mógł swobodnie powtarzać słowa modlitwy pańskiej — „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“.

Gdybyśmy dla charakterystyki całości twórczości Morcinka chcieli szukać jakichś analogii literackich — myślę, że należało by go zestawić z niesłusznie dziś zesłaną w cień Rodziewiczówną. Książka Morcinka tak jak książka Rodziewiczówny stanowi literaturę dla wszystkich. Przeczyta ją bez poważniejszych zastrzeżeń i czytelnik o wyrobionym smaku i kulturze literackiej, weźmie ją chętnie do ręki i zainteresuje się nią i człowiek do lektury literackiej słabo przygotowany. Brak tego typu literatury, tak liczenie reprezentowanego za granicą, daje się u nas szczególnie dotkliwie odczuwać i dlatego pisarz, który go reprezentuje ma w naszym życiu literackim specjalną pozycję.

Niedomagania Morcinka jako pisarza wpływają głównie z tego, że twórczość swą oparł przede wszystkim na eksploatacji swego wielkiego i bogatego talentu, mniej uwagi i pracy wkładając w opanowanie i udoskonalenie pisarskiego rzemiosła. Na rozwój jego twórczości wpłynął bez wątpienia również brak na Śląsku żywego ośrodka myśli literackiej, brak dla tej myśli tradycji i ciągłości. Poza tym był Morcinek, który właściwie kształcił się i doksztalał zupełnie samodzielnie, skazany na własne siły, własną intuicję i własną selekcję materiału. Stąd wynika silna zależność od młodopolskich wzorów literackich a zwłaszcza od Reymonta, stąd brak filozoficznego pogłębienia w spojrze-

G. Orwell

## Rozkwit i zmierzch angielskiej powieści kryminalnej

Najwięcej napisano i najwięcej czytano powieści kryminalnych w Anglii w okresie czasu od 1920 do 1940 roku, od tej ostatniej daty znaczy się już wyraźny zmierzch tego rodzaju twórczości literackiej. Podczas tych niespokojnych, gorączkowych lat, „crime stores“ — jak w Anglii nazywano powieści kryminalne — powszechnie były uznane i stosowane jako środek uspokajający, powiedzmy jak herbata, aspiryna, papierosy czy radio. Książki te ukazywały się masowo, nie więc też dziwnego, że wśród autorów spotykamy na przykład profesorów-ekonomistów i księży, obojętne czy katolickiego czy anglikańskiego wyznania. Każdy dyletant, któremu nigdy nie przyszłoby na myśl brać się do pisania powieści, uważał, że jest wystarczająco zdolny, by „popęlić“ przeciętnie dobry „kryminał“. Napisanie takiej książki wymagało jedynie dość pobieżnej wiedzy z zakresu trucizn oraz umiejętności zastosowania takiego alibi, za którym główny winowajca mógłby się dobrze ukryć. Z czasem jednak wymagania co do powieści kryminalnych wzrosły: autor musiał wykazać się pewną oryginalnością pomysłów, głębszą inwencją, książka miała bowiem zadowolić gusty czytelników zarówno od strony budzenia zainteresowania jak i zaspokojenia żądzy krwi. Zbrodnie stawały się więc coraz bardziej sensacyjne, rozwiązania i finały coraz bardziej skomplikowane i nie oczekiwane. Mimo to jednak jest faktem, że z całej plejady tych tomów, nie wiele zasługuje na przeczytanie.

Nie zawsze jednak tak bywało. Literatura rozrywkowa nie zawsze musi być literaturą złą. W latach 1880—1920 miała Anglia trzech specjalistów od powieści kryminalnych, którzy bezsprzecznie posiadali wybitne kwalifikacje i talent w tym kierunku twórczości. Do trójki tej

należy Conan Doyle, poza nim dwóch jeszcze niżej stojących autorów, jednakże zasługujących na uwagę: Ernest Bramah i R. Austin Freeman.

Dziś jeszcze, przeszło pół wieku od chwili gdy Sherlock Holmes po raz pierwszy zjawiał się w widowni, jest on jedną z najpopularniejszych postaci powieści angielskiej. Jego wysmukła, wysportowana sylwetka, orli nos, dawnego kroju żakiet, bogate w rozmaite pamiątki i zbiory mieszkanie na Baker Street, pełne skrytek i zakamarków, skrzypce, tytoń w indiańskiej tabakierce, ślady kul na ścianach — wszystko to jeszcze dziś stanowi składową część intelektualnych bogactw Anglika, znającego doskonale swoich autorów. Przygody Sherlocka Holmesa tłumaczone były na dwadzieścia języków: od norweskiego po japoński.

Dwaj dalsi autorzy, o których wspomnieliśmy, tak olbrzymiej popularności nie osiągnęli nigdy, obaj jednakże stworzyli typy niezapomniane. Dr. Thorndyke Freeman to typ detektywa-naukowca, znawca medycyny i prawa, który wszelkie zawiłości zagadek rozwiązuje w swym laboratorium, przy pomocy mikroskopu i aparatu fotograficznego. Typ detektywa z powieści Ernesta Bramaha, Max Carados, jest człowiekiem ślepym. Ślepotą sprawiła, że pozostałe jego zmysły rozwinęły się do niebywałych granic.

Rozpatrując motywy, dla których wszyscy ci trzej autorzy podobają się nam, dojdziemy do czysto technicznej konkluzji końcowej, która zarazem jasno podkreśli nam słabe strony współczesnej powieści kryminalnej.

Przed wszystkim widzimy, że „detective story“ z owego pierwszego okresu są znacznie bogatsze niż powieści współczesne. Dialogi są znacznie bardziej skomplikowane, więcej też spotykamy akcji

ubocznych. Gdyby opowieści Conan Doyle'a napisane były wczoraj, bardzo śmiało wątpić, czy obecnie znalazłyby się wydawca, który by je wydał. Są przy tym zbyt długie dla dzisiejszych przeładowanych czasopism i wydawnictw.

A jednak drogą nagromadzenia szczegółów, na pierwszy rzut oka niepotrzebnych, uzyskuje Conan Doyle — tak, jak przed nim Dickens — niezwykle mocne efekty. Analizując dzieła z cyklu Sherlocka Holmesa stwierdzimy, że ekscentryczność i przenikliwość tego człowieka występuje specjalnie mocno w epizodach nie bezpośrednio związanych z akcją powieści. Wystarczy np., by Holmes dokładnie przyjrzał się znalezionemu na ulicy kapeluszu, a już może podać dokładny opis — jak się zawsze zresztą później okaże: całkowicie wierny — jego właściciela.

Podobnie tworzyli Ernest Bramah i R. Austin Freeman. To, że ich powieści są zarazem utworami literackimi, a tylko niekiedy „zagadkami“, to zasługa głównie wielki akcyj ubocznych, jakie się w nich znajdują.

Powieść detektywistyczna tamtego „złotego“ okresu nie bazowała bezapelacyjnie na jakiejś zbrodni lub próbach jej wykrycia, nie kończyła się także rewelacyjną niespodzianką czy sensacyjnym odkryciem. U nowoczesnych zaś autorów najbardziej frapuje nas ich uparta, często sztucznie wprost robiona tendencja osłonięcia tajemnicą osoby zbrodniarza. Na odwrót u Conan Doyle'a: w całym szeregu powieści znamy już od początku sprawcę zbrodni. Najpoważniejszy problem stanowi tam pytanie: jak sobie zbrodniarz będzie poczynił, kiedy wreszcie doświadczy go ramię sprawiedliwości.

Austin Freeman bardzo często na samym wstępie opowiadania podaje dokładny przebieg zbrodni, w wszelkich szczegółach; powraca do nich rozwijając metody śledcze, przy pomocy których zagadka zostaje rozwiązana. W powieściach tego czasu zbrodnia nie jest więc koniecznym warunkiem ich sensacyjności. W dzisiejszych powieściach kryminalnych jest odwrotnie: wątkiem akcji jest zawsze morderstwo

niu na świat, niedociągnięcia psychologiczne.

Jego trwałe zasługi jako pisarza to doskonałe powieści dla młodzieży o nowej i wartościowej społecznie tematyce, to świetne opowieści z życia szkoły i to wreszcie Śląsk ujrany po raz pierwszy oczyma prawdziwego, dysponującego szerokimi możliwościami twórczymi pisarza,

Józef Pogan

## MOROWA BABA

Jakub Kłapać był nawet nie biedny gospodarz, bo gruntu miał coś dziesięć morgów, chował se zawdy pięknego konia, dwie krowy, do tego jeszcze jakieś cielę czy jałówkę, czasem świnię też upichł i narzędzie też miał do gospodarki.

Był pobożny, pracowity, oszczędny, nie łajdaczył się i nie pijał, ludzi nie obczerniał i nie wlażył im w drogę, ino se tak żył, jak Bóg przykazał. Chleba też miał zawdy po uszy, bo widać Pan Bóg pamiętał o nim i błogosławił mu we wszystkim. I byłby na prawdę szczęśliwy, ale cóż, kiej babę miał strasznie złą kieby jaka osa, a pysk to miała jak stara i ciągiem go otwierała i miała ją jezorem na wszystkie strony. A najwięcej to już śtęderowała na Kubę, że niemrawa, nieobrotny, nic nikaj nie zażenie i nie wyspekuluje jak inni chłopci, ino ona sama musi zawdy o wszystkim myśleć.

Kuba mało kiej jej się w czym odszczeknął. Jak zaczęła miądlić jezorem, to on wtulał czapkę na uszy, uciekał z chałupy i mruzczał se pod nosem. — A szczekaj, ścierwo, rozdzieraj se ten pyziór, kiej ci go nie żal psuć na próżno... Ulży ci się jak się wyklapijesz...

U baby długie włosy, a rozum krótki, ciasne pojęcie, a pysk szeroki...

Róża jeszcze się gorzej o to ciepała i doskakowała do niego, ale się wagowała w pysk go ździelić, bo wiedziała, co by jej się za to znaczyło. Toli zaraz na trzeci dzień po ślubie ździeliła go ręką

ukazany w nowym i świeżym literackim kształcie, Śląsk może zbytnio wyidealizowany ale za to umiłowany głęboko, opromieniony blaskiem szczerzego przywiązania. I to Śląsk cały, z jego przeszłością i terażniejszością, Śląsk przemysłowy z jego twardą pracą i ostro zarysowanym obliczem społecznym, Śląsk zielony z całym jego urokiem i pięknem.

w policzek, a on jak ją raznął, to się aż raciami nadkryła i tyle z nim nawojowała. Za jakiś czas znowu się przystawiła do niego, ale jej to samo zrobił, co przódki i więcej się już wagowała brać do bicia. Tyle ino, co pyskiem to mu już dogryzała, wiele jej się ino podobało, ale bić się nie dał. Róża się przekonała, że „choć by chłop był jak skóra, to zawdy jego góra“ i to ją okropnie źliło, że nie mogła na nim jeździć jak, nieprzymierzając, na tej łysej szkapie.

Kuba przezwiał ją „zaporą od piekła“ a potem i ludziska też ją tak przezywali, bo pono lepszej nazwy nie wartała. No jużci. Któż to widział, żeby tak ciągiem pysk rozdzierać na chłopca? Przecie by się każdemu życie przy niej sprzykrzyło. Wtenczas ino był spokój, jak jej nie było w chałupie, albo jak spała, a więcej nigdy. — Jakby tak miała inszego chłopca, to by jej w każdy dzień po łebie dogruchał, ale Kuba — jak to Kuba: jedno zwinął, drugie minął, aby ino nie było w chałupie swaru i boski obrazy, bo on tego strasznie nie cierpiał. Zresztą — lubił ją za jedno: była pobożna i gospodarza i to go cieszyło. W każdziuskie rano, ledwie że zaczynało świtać, ona już hyc z łóżka, smyrnie na siebie kieckę, przeżegna się i robi ruch jak wszyscy diabli: to kury zaraz wypuszcza na pole, świni do żreć, krowy doi, a przy tym pacierz klepie i ziora na chłopca, żeby wstajał czym prędzej. Zanim zaspany Kuba oczy przetrze, wdzieje się i pacierz zmówi, to

A przytem nie wolno zapominać o jednym: Morcinek zapoczątkował nowy nurt literacki na Śląsku, nowy okres w dziejach piśmiennictwa polskiego na tych ziemiach. Jeśli nie w prozie, to w poezji ma już kontynuatorów i następców. Okres wojny nie zmienił jego sytuacji. Jest w śląskim środowisku literackim nadal postacią najwybitniejszą.

ona już wszystką gadzinę opatrzy i zabiera się do gotowania, a rozdziera gębę, że za ten czas to by już dziesięć pacierzy zmówiła, do Wszystkich Świętych się pomodliła i sam Pan Bóg wie, co by jeszcze nie nawojowała. No czemuż by nie, kiej ona co raz: „zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą... wstajaj, stary przyku...! ...błogosławionaś ty między niewiastami... leceć już doić, a ty się wdziejawaj...! i błogosławion owoc żywota... następie się, Krasa...! módl się za nami grzesznymi... Łysa chorobo, nie bodź...! teraz i w godzinę śmierci naszej, amen“.

— To ci dopiero baba — myślał se nierraz Kuba. — Wszystko naraz: i robota i modlitwa i pyskowanie i rozmyślowanie o gospodarce, o kumoszkach i bajkach... A wszystko ino skuli tego, żeby nie pomitrzyć. Żeby była trochę łagodniejsza, nie taka wściekła osa, to by warta czego na świecie.

Czasem jak Kuba był wesoły, to mu nawet śmiesznie myśli wpadowały do gołwy: czy Róża będzie miała kiej czas umrzeć, albo kaj też jej dusza pójdzie po śmierci? Do nieba? — chyba nie, bo choć pobożna i modliła się często, ale cóż warta taka modlitwa w chlewie przy krowach, czy przy inszej robocie, przerywana rozmaitym pyskowaniem i klęciem. Do piekła za to pyskowanie na niego? — też mu się to jakosik nie widziało, żeby baba za swojego chłopca cierpiała po śmierci. Kuba nie był przecie zły ani głupi i rozumiał wszystkiemu, a nawet

i temu, że to były głupie myśli. Liczył se nie raz, wiele było we wsi takich bab jak jego Róża. Do modlenia było dużo takich, do pyskowania też, a najmniej do roboty i to go cieszyło, bo gospodarka szła jak się patrzyło. A choć ta ona była gospodynią do wszystkiego, sprzedawała zboże, czy jaką uchowaną gadzinę, a on ino robił i był przy nie kieby za porobka — to niechże ta. Przecie nie robili dla kogo, ino dla siebie i swoich dzieci. Róża dbała o wszystko i co trza było do gospodarki, czy przyrodziewku — kupiła, podatek wypłaciła, na tabak chłopu dała, a że nie oboje rządili gospodarką, ale razem żyli i korzystali ze wszystkiego, razem z jednej miski jedali, na jednym łóżku i pod jedną pierzyną sypiali, to o cóż się Kubie miało rozchodzić? Chyba ino o jedno pyskowanie, ale i do tego on się pomału przyzwyczaił. Jak go ino Róża po pysku nie chlastała, to szczekać mogła se już na całą parę. A jakże. Przecie i tak lepiej, że była pyskata, robotna i gospodarza, niżeli jaka dziamdzia, co to nie wie do czego żyje na świecie. Róża to wiedziała, że: do roboty, do jedzenia, do modlenia się, do spania z Kubą i do chowania dzieci. Tak gadowała zawdy, bo o tym, że była jeszcze do pyskowania — to nigdy nie wspominała.

Dzieci dość często Pan Bóg im dawał: najpierw mieli Frankę, potem Zośkę, Julkę, paru chłopaczków i jeszcze pono nie koniec miało być na tym. Róża dbała o nie, pielęgnowała jak mogła, a że Bogu dziękować — miały co jeść i w czym chodzić, to też chowały się zdrowo i dobrze.

Dziewuszki rosły, kieby na drożdżach, a takie były śwarniutkie jak laleczki. Matka cieszyła się nimi bardzo, stroiła je i gadowała, że rosną do wzięcia.

Lata mijaly prędko, córki się rozwijały i niedługo czasem France obróciło się na szesnasty rok. Była już bez mała do wzięcia, ale trza było, żeby się pierw jakimu chłopakowi spodobała. To też matka starała się, żeby dziewczka miała w czym poradować. Kupiła jej ładną sukienkę, wiśniowe półbuty, cieliste ponczochoy, halkę z koroneczkami, błyszczące koraliczki, coś ze trzy broszki z takimi lśniącymi oczkami, parę grzebyków do włosów i coś tam jeszcze, na czym się chłopci nie znają.

Jak się Franka ubrała w niedzielę czy w święto, to wyglądała kieby lalka na odpuście. Ale jeszcze nie koniec na tym paradowaniu. Toli, Franka chodziła jakikis czas do organisty na naukę śpiewu, a potem w kościele na chórze z innymi pannami śpiewowała. Jużci, nie skuli służenia tym Bogu, ino skuli swojego honoru i przypodobania się chłopakom.

Ale strojenie się Franki i jej śpiew na chórze nie wiele pomogły, bo jakosik chłopaki nie rażno się z nią zapoznawali. Już miała szesnaście lat, a tu jeszcze żaden do niej nie chodził. Matce zaczynało to wlażyć do głowy, bo żeby to sama Franka była, to by nic. Ale tu jeszcze dwie młodsze dorastają. Będą to tak wszystkie trzy siedzieć na kupie? Było o czym myśleć, a jakże.

Franka była nieśmiała i wstydziła się odywać do chłopaków. Matka zaś kuta baba, wiedziała, że dziewczka z wygadaniem wrodziła się nie do niej, ino do Kuby, to też sama zaczęła chłopaków przynęcać. No jużci, żadnego tak na wyraz nie wołała do córki, ino tak okalicznością kole tego zaskakowała. Była mądra, sprytna i wiedziała jak im się należy przychlebiać. A no, różnie: trza było tak żartem i wesoło powiedzieć każdemu „zicim“, trza było przystanąć zawdy jak szła kaj z córką i spotkała którego, śmiać się do niego i rozmaicie; córce zaś tłumaczyła, by nie była taka dzika, bo ją se ludzie spopadną i zaczną ją poterować. Przecie nie było inszej rady, ino mus było tak robić jak wypadało. Zresztą wszystkie matki tak robią, co mają dużo córek.

Najlepiej to już było, jak kaj grali na zabawie czy weselu. Wtedy wszystkie trzy szły na muzykę, zaś matka za nimi. France kazywała se stanąć przy kółku, to ją prędzej chłopaki będą brali do hulania. I szło jakos. Franka się powoli ochrostała do życia i do zalecania z kawalerami.

Za jakiś czas chłopaczyska zaczęli się wieczorami zgwidzować kole Kubowej chałupy. No jużci, że ta nie takie prawdziwe parobki, ino takie młode podciepki, no bo i dziewczka też była młoda. Poculi ją nareszcie. Franka wychodziła

(formułka stale ta sama — trup, tuzin osób podejranych, z tych każda ma solidne, murowane alibi). U dawniejszych twórców motywem powieści jest często drobne uchybienie, winowajcą nieraz zwykły, nieszkodliwy bliagier. I bardzo często śledztwo ustala, że w ogóle nie ma mowy o żadnej zrodni. Bardzo często problemy tajemnie rozwiązywanych przez Sherlocka Holmesa, wyświetlone całkowicie, ustalają podłoże: nieporozumienie albo kłamstwo. Bramah napisał dziesiątki książek, dwie tylko lub trzy z nich mają pewne powiązania z morderstwem.

Możemy już teraz dokładnie sprecyzować różnice pomiędzy starą i nową szkołą w powieściach kryminalnych.

Dawni autorzy obdarzali zaufaniem swoje własne postaci, swoich bohaterów. Ich detektywi to jednostki niezwykle utalentowane, nieomal półbogi, których otacza aureola powszechnego podziwu. Dziś, kiedy kulisami naszego życia są: wojny światowe, bezrobocie, epidemie, głód, totalizm — zbrodnia straciła już wiele ze swej atrakcyjności: zbyt dobrze zdajemy sobie sprawę z jej przyczyn socjalnych i gospodarczych. Trudno więc nam pewien rodzaj gimnastyki umysłowej, jaką jest czytanie tego właśnie rodzaju literatury, uważać za cel sam w sobie. Pod koniec ubiegłego stulecia społeczeństwo mogło uważać się za zespół ludzi uczciwych, którego ład zbrodnia narusza. Natomiast oczom współczesnych sataniczna postać doktora Moriarty mogłaby się zjawić w postaci Hitlera.

Z autorów nowoczesnych dwóch tylko ufa swoim bohaterom: G. K. Chesterton i Edgar Wallace. Utwory ich nie są już jednak tak frapujące, jak Doylego czy Freemana, Wallace, autor zadziwiająco wszechstronny, obdarzony specyficznym, nieco chorobliwym talentem, zdradza pewne przejawy sadyzmu, którego tu roztrząsać nie będziemy. Bohater Chestertona, ojciec Brown, to ksiądz katolicki, którego Chesterton używa do subtelnej, katolickiej propagandy.

W powieściach kryminalnych ostatniej doby obserwujemy albo groteskowe utamki albo mało przekonujące ślady wy-

siłków autora w kierunku wytworzenia atmosfery grozy dokoła zbrodni, którą jednakże tylko z trudem możemy uznać za straszną. Detektywi współczesnych twórców spuszcza się raczej na przypadek lub na intuicję. Są znacznie mniej inteligentni od bohaterów Poego, Doylego, Freemana czy Bramaha. Ojciec Brown Chestertona posiada niemal cudotwórcze właściwości, Holmes jest racjonalistą XIX wieku. W postaci tej chciał dać Cannon Doyle wierny obraz sylwetki, pod jaką jego współcześni wyobrażali sobie mędrca, uczonego.

Detektyw z ubiegłego stulecia konsekwentnie zachowuje celibat, traktując tę kwestię jako wyraźny atut swojej wyższości. Owszem, i nowoczesny detektyw zdradza pewne skłonności do zachowania stanu wolnego — jednakże celibat Holmesa czy Thorndyka ma w sobie coś zupełnie specyficznego: obaj nie zdradzają najmniejszego zainteresowania dla płci odmiennej. Człowiek mądry — jak twierdzą — żenić się nie powinien. Musi natomiast mieć w swym otoczeniu kogoś, kto jest dlań pewnym dopełnieniem: jakiś głupiec. Ten właśnie głuptas mocą kontrastu podnosi kwalifikacje mądrego.

Nie jest to także kwestią przypadku, że pierwszymi detektywami są amatorzy nie zaś funkcjonariusze organów śledczych czy policyjnych. Typ zawodowego detektywa z Scotland Yardu wprowadza dopiero Edgar Wallace. Kult dla amatorów to bardzo charakterystyczna cecha Anglików. W pierwszych przygodach Sherlocka Holmesa i w niektórych sprawach doktora Thorndyke funkcjonariusze policji odnoszą się zdecydowanie nieprzychylnie do amatorów-dyletantów. Tylko, że zawodowcy stale popełniają błędy, nie wahają się oskarżać ludzi niewinnych. Stąd też geniusz analityczny Holmesa i encyklopedyczna wiedza Thorndyke'a większe mają możliwości zajaśnienia pełnym blaskiem — na tle ciasnej rutyny organów oficjalnych.

W krótkim szkicu trudno jest ująć szerzej całość zagadnienia, niepodobna też omówić twórczości z tej dziedziny autorów zagranicznych, zwłaszcza amerykańskich.

Po roku 1920 produkcja powieści kryminalnych była olbrzymia. Wojna nie wpłynęła bynajmniej na jej zahamowanie. Lecz dla przyczyn, które starałem się wyjaśnić powyżej, laska czarodziejska ubiegłej doby straciła już swą moc. W nowoczesnej powieści kryminalnej jest wprowadzenie znacznie większa pomysłowość, jednakże autor nie potrafi wytworzyć „atmosfery“.

Z pisarzy ostatniego okresu tej gałęzi twórczości trzeba na pierwszym miejscu bez wątpienia postawić Edgara Wallace, który gotów jest zawsze raczej przerazić czytelnika niż prowadzić go szlakiem zwilich dociekań. Trzeba także wymienić i Agatę Christie, celującą w wytworności dialogu i umiejącą iść zręcznie tropem fałszywych śladów. Tak bardzo zachwalałem powieści Doroty Sayers nie zwróciłyby na siebie uwagi, gdyby nie fakt, że autorka sprytnie w osobie detektywa wprowadziła syna księcia. Co do dzieł reszty współczesnych, jak: F. Wills Croft, Margaret Cole, Ngaio Marsh, Philip Macdonald, można właściwie powiedzieć z całym spokojem, że dzieła ich wniosły do literatury wkład nie większy — jak krzyżówka.

Śmiało dziś można już odrzucić przypuszczenie, że kiedykolwiek powieść kryminalna — traktowana jako gimnastyka umysłu — znowu wypłynie. Bardzo bowiem jest mało prawdopodobne, by ukazała się ona w takiej formie, do jakiej przywykliśmy. Powieść kryminalna kojarzy się doskonale z wiekiem XIX, zwłaszcza z jego okresem końcowym, kojarzy się i z Londynem z lat 80—90-tych, spowitym w ponurość i tajemniczość, kiedy to w migotliwym świetle gazowych latarń z pośpiechem przebiegali tajemniczy przechodnie z wysoko postawionymi kołnierzami, kiedy wśród wieczystej mgły rozbrzmiewały dziwnie nawoływania woźniców. Kojarzy się wreszcie i z epoką, w której angielska opinia publiczna znacznie bardziej interesowała się wyczynami Jack The Rippera (angielski odpowiednik dra Petiota) niż problemem irlandzkiego „Home Rule“.

Spolszczyła J. Bulakowska.

do nich przed chałupę, a ucieszona matka wyszczeniała ze sieni gębę, przyglądała się i śmiała radośnie. Czasem nawet wyszła do nich i przychwała im co gadali, żeby się domyśleli, że ona im bardzo rada. Przy niej chłopaki byli spokojniejsi i nawet nie dużo gadali. Ale jak ino odeszła, to zaraz któryś France ścisnął ręce, łechtał pod pachą, podszczypował kaj, czy piersi miękał. Nic złego przecie, bo wszyscy chłopaki wszystkim dziewczuchom tak robią. Franka zaś udawała, że tego nie lubi, oganiała się i pokwikowała. Było zawdy wesoło wieczorami przed chałupą jak wszędy, kaj jest dorosła dziewczka.

Ojca to mierzało okropnie. Czasem nawet jak był zły, to robił takie śmieszne komedie, że i Róża musiała się z tego śmiać. Toli udawał parobków i gwizdał; to znowu dolatywał do lusterka, przegłądał się, poprawiał se włosów, mućkował się i wylatywał z izby, niby to Franka do chłopaków: za chwilę znowu z rozczochranymi włosami i z warzechą od garnków wychodził do sieni, wyszczeniał z poza ściany gębę na pole i uśmiechał się. Róża strasznie się o to przedrzeźnianie wściekała, ale śmiechu też pohamować nie mogła, bo to było strasznie zabawne. Franka też miała o to serce rozkałeczone, ale się nie swarzyła z tatusem, bo to przecie grzech. No, żeby nie grzech było, to ona też by wiedziała, co ojcu na to odpowiedzieć.

Pomału chłopaki się rozeźmielili i zaczęli wchodzić do izby. Raz nawet Bartek Beczków zafundował kwartę wódki.

Kuba nie chciał lyknać ani kropelki wódki i o to się nazajutrz baba z nim żarła, że ten odludek narobił jej i córce wstydu przy chłopakach. Pewnie, że się miała o co żreć, bo żeby to był choć pół kubka wypić. A on się uparł jak kozioł. Któż to widział, żeby tak gardzić chłopakami, jak się ma dziewczuchy? Przecie, jakby wszyscy ojcowie tak postępowali, to by chyba ludzi nie było na świecie, bo by nikt córki nie wydał.

Nie uszło nawet roku, a Franka była już jakby nie ta sama: nabrała śmiałości do chłopaków, nauczyła się do nich kłapać, zalecać i często nawet przy matce siadała im na kolanach, czy na podółku. Przy ojcu tego nie robiła, ale przy matce niewiele się krepowała. Bo czegoż, kiej tak samo jak i ona — wiedziała, na czym świat stoi.

Powoli przy France wyćwiczyły się też młodsze siostry, Zośka i Julka, bo one były z urodzenia morowsze, miały matczyną naturę i wygadanie. Ani się nikt nie spodział, jak się wybiły we wszystkim. To co Franka widziała w szesnastu latach, Zośka widziała już w piętnastu, a Julka w czternastu. No i prawda, że najstarsze dziecko jest najgłupsze, a najmłodsze najmądrzejsze, bo się wszystkiego przy starszych wycyzy. Święta prawda.

Zośka i Julce też zaczęły się chłopaki pomału zalecać. One się nawet do tego od razu nadawały, bo nie pokwikowały tak jak Franka, co to z początku nie dała się dotknąć chłopakowi. One nie, — Podszczypujesz — podszczypuj, miękasz — miękaj — myślały se, bo już były obłaskomione do tego.

Nieraz tych chłopaczysków przyszło tam kilku na różne zgiełty. Wsiadowali z dziewczuchami, śmiali się, dokazywali, grywali na organkach i śpiewali, aż ich na pół wsi było słycać. Czasem przyszli sami narzeczeni dziewczuch. Z wieczora wzięli do izby, ale jak już starzy zamdchnęli lampę i poszli spać, tak chłopaki z dziuchami wychodzili przed chałupę. Wtedy wsiadowali se pod szopą na spodniarce od wozu, czy też leżeli se w agrecie, albo w porzeczkach. Kaj kto miał ochotę i kaj mu wygodniej było. Ale najczęściej każda para osobno, bo tak było najlepiej.

Tak se to te chłopaczyska łązili, wsiadowali czy wylegiwali z dziuchami, a matka się tym szczyliła, że to jej córki mają ruch. A chociaż ta nie wiedziała ufetnie, czy się który z tych zalecaców będzie żenił, ale mogła się przecie chwalić, żeby dziuchy były w lepszej zacy. Może ta i mądrze robiła. Wiedziała przecie, jak to nieraz kajdzi bywało z dziewczkami: jak nikt nie chodził — to nikt i dziewczki się chciały zmysić od strapienia, a jak się który zaczął zalecać, to oraz dziesięciu leciało i ciśli się jak do miodu. O to też matce chodziło, nie o co inszego. Chodziło jej, by córki miały „rwanie”, bo jak „rwanie” jest, to i branie też potem być musi.

Kubę aż mory brały na takie zwłeczenie się chłystków, na te zgiełty i wylegiwanie z nimi córek po nocach i często mrucał rozeźlony:

— Moja baba widać urządza targ na córki... kupców wciąż tu łązi, kieby psów do suki...

— O ty niemrawo! niedorajdo! pusty łebie! Cichopchaju! cymbale zatracono! — zaczynała wtedy Róża mleć językiem i doskakowała mu do łeba. — A cóż se ty myślisz, że dziewczuchy będą w chlewie siedzieć?! Jakym ciębie słuchała, to bym ich ani za sto lat nie powydowała! Wszędy tak chłopaki chodzą do dziewczuch, zalecają się i potem żenią! A ty być chciała jakąś swoją głupią modę zaprowadzić! Jeszcze, jak coś od ciebie takiego usłyszę, to ci łeb garnkiem rozwałę, albo ślepią warem wyparzę!

Chłop wtulał czapkę na uszy i uciekał od pyskatej baby do swojej roboty, bo cóż miał robić z taką jędzą? Ona w złości mogłaby go przecie żdzielić garnkiem w głowę, albo wrzącym żurem chlusnąć mu w oczy, a choćby ją za to później na śmierć zatłukł, to cóżby mu się z tego zawiązało? I tak by miał łeb rozcięty, albo ślepią wyparzone i może by jeszcze do tego musiał w kozie siedzieć. Najlepiej było nic się nie odzywać, a dziewy niech słuchają głupiej matki i jak se pościelą, tak się wuspia. Czasem se i po droboci o tym zaczynali gwarzyć, ale do takiej żony szkoda se było nawet piersi psuć. Ciepaj, człowieku, kota na łeb, a on i tak na nogi spadnie. Z Różą też tak bywało. Tej juchy to by nikt nie przegadał. Nawet ta przekupica z jarmarku też by jej nie przeszczeakała. Szkoda gadać, bo i sam Lucyper z piekła też by jej pewnie nie poradził. Skąd się ta, taka choroba, wzięła na świecie? Jak jej Kuba tłumaczył, że się dziewczuchy zepsują tym wysiadaniem z chłopaczyskami, że to wstyd, grzech, a i bocian też może przylecieć i przynieść co, to ona się zaraz rozciepara i chciała się wściec o to, a jęzorem miądliła, aż chłopu w uszach zatykała. I tyte było z tłumaczenia. Nie było inszej rady, ino trza było jej zmilczeć i uciekać sprzed oczów.

Parobczysków zaś co raz więcej załaziło do Kubowej chałupy i każdy bajtłował o żeniace, bo się rozniosło po całej wsi, że Kubowym córkom to się warto zalecać. Jużci nie łązili wszyscy w raz, ale w jeden wieczór jedni, w drugi — drudzy, to znowu inni i tak zawdy na zmianę. A każdy schlebiał dziuchom jak mógł. Niektóry pogniwał się z nimi i więcej już nie przychodził, ino je obszczekiwał po całej wsi, aż śmierdziało. Któryś ta przeważał je „kobylicami”. Narobiło się z tego śmiechu, płaczu, klęcia, pomstowania, a i parobczyska też się pobili o to. Raz nawet to się chcieli tam pozabijać. Ale wtedy to nie było o bajki, ino o zaloty. Toli, przyszło tam czterech kawalerów z wódką i zaczęli se popijać. Zaledwie wypili po jednym kieliszku, a tu patrzeć — wzięli inni chłopaki. Byli już trochę podpici. Któs przypił do jednego z nich, ale ten zamiast pedzić „na zdrowie” i wypić — wyjął z kieszeni swoją flachę i postawił na stole, a tamtę wstawił pod stół. — Co jest, do ciężkiej cholery? — rozdarł się oburzony i skoczył do bicia.

Zarobiła się granda. — Haratali się flaszkami po łebach, że ino szkło pryskało w powietrzu i krew sikała po ścianach. Dziuchy się porprzelekały i ziorały, kieby je kto ze skór łupił. Kuba też struchlał od strachu. Ino jedna matka rozdierała się na tych „wisusów”. A parobczyska się prali, aż zgroza było patrzeć. Wreszcie wygarnęli się na pole i tam się haratali.

Róża skoczyła do sieni i zaryglowała drzwi. Kuba zaś zgasił lampę i wszyscy siedzieli cicho jak tpusie. A parobcy się prali przed chałupą jak wszyscy diabli. Co tam było wrzasku... klęcia... gwarłów... zgrzytania zębów, to nikt by tego nie umiał opedzić.

Nareszcie rozwiła się wszystko. Dwóch parobków zostało przed chałupą i chcieli wleźć nazad do izby. Ale ich nie wpuścili. Zaczęli wyklinać i dobijać się do drzwi. Róża wyjechała na nich z pyskiem, oni zaś na nią. Ona ich dziadowała i bandytowała, a oni przezywali jej dziewczki. Ale jej nie mogli nijak przepomóc. Zakłęli siarcyscie, a kołkiem jak którzyś palnął we drzwi, to się aż chałupa zatrzęsa. Ojciec i dziuchy o mało ze skór nie powy-skakowali. Rozeżleni parobcy potrzaskali tę spodniarkę, co na niej z dziuchami wsiadowali, połamali drabinę przed cha-

łupą, rozburzyli psią budę, a łańcuch ze psa, to jak któryś piznął oknem do izby, to trzy szyby na raz wyleciały i wrzasała, żeby se na tym łańcuchu Róża córki popowieszała...

Kuba dość długo potem labiedził o tę szkodę i żalił się przed ludziami na tych wisusów. Róży też było żal tego, ale nie dawała znać to sobie, ino się śmiała i chwaliła przed sąsiadami, że do żeniaczki z jej córkami to się tak kawalerzy cinsną, że aż się chcieli o nie pozabijać. Miała z tego straszny honor... Jak jej się kto spytał, czemu córek nie wydaje, kiej takie mają rwanie, to się wykrecała jak mogła: — Tych, co się dziuchom podobają — ja ich nie chcę, bo jeden próżniak, drugi pijak, ten taki, tamten owaki, biedny, wisus: zaś tych, co ja bym im rada — dziuchy nie chcą, że to: albo brzydki, albo niemrawa, albo podziobany, czy co inszego i tak nie możemy nijak przyjąć do ładu. Jakby się trafili tacy, co wartają czego na świecie i dziuchom się udali — to bym wszystkie trzy o raz wydała.

Ludzie przychwalili jej w oczy, a poza oczy, to się z niej wysmiewali, bo każdy wiedział dobrze o wszystkim.

Po trochu Kubowe córki straciły se oko, nie ino u parobków, ale u wszystkich ludzi we wsi. Każdy, jaki był: mały, duży, prosty, krzywy, garbaty — wszyscy je wyzigowali palcami, wysmiewali się z nich, obszczekowali je, aż śmierdziało. Miały więc, biedne dziuzyska, za swoje, hoho. Kaj je ino kto spotkał, przyglądał im się, kieby ich nie znał. Nawet do kościoła nie mogły przejść spokojnie, bo wysmiewni parobcy wystawali pod organistówką i palcami pokazywali im coś na migi, a kto rozumiał o co chodzi, musiał pękać od śmiechu. Dziuchy miały za swoje, a matka jeszcze więcej. I nie raz to się aż chciała potargać od złości. Oganiała się ludziom na wszystkie strony jak mogła. Przezywała ich, wymyślała o innych dziewczkach różne brzydkie rzeczy i cuda boskie wyrabiała. Obmierzła ją też to łązenie parobczysków, ale im cierpiała, nie odganiała ich od córek, bo se myślała, że się jeszcze który ożeni. Ojciec już nie wierzył, żeby co z tego było. A za parobków to już ani patrzeć nie mógł i wołał by był ujrzyć przed chałupą wściekłego psa, jak takiego wisusa.

Parobków to ani ziąbiło ani parzyło, bo przecie nie do niego chodzili, ino do jego córek. Więc łązili bez przerwy, zalecali się na całą parę, poprali się tam parę razy i tak się to wlokło... Dziuchy jeszcze całkiem nie traściły nadziei wydania się, broiły z chłopakami, wylegiwały z nimi pod krzakami agrestu czy porzeczek i z dnia na dzień oczekiwały swojego „wzięcia”.

Ale wreszcie „urwało się ucho u dzbanka”. Toli, od jakiegoś czasu Franka się czegosik trapiła. Nie śmiała się już tak

mile do narzeczonego ani do innych chłopaków jak przodzi, a i do siostr i matki też tak nie gwarzyła wesoło, ino taka zadumana łąziła. Znać było, że jej coś dogorlało. Nie raz nawet to se popłakała ukradkiem.

Matka była kuta baba i zaraz się domyślała, co to może być. Wsiadła też na Frankę, ale ta nie chciała się z nicyzm przyznać. Dopiero porwała świńską pałkę i stanęła jej nad łebem — dzioucha zarygła się i pedziała, co jej się stało.

Matkę zaćmiło zupełnie. Zezieleniała na gębę. Myślała, że się pod ziemię zapada. — Dobra nowina... interes... Zeby jej się nie było rozchodziło o grzech, wstyd i młodsze córki, to by była tą pałką ze ziemią porównała taką wyrocną córkę. No pewnie. Przecie chyba lepszego nie wartała. Ale cóż, kiej by se tym jeszcze pogorszyła. Trza było stulić gębę i wziąć się za Bartka Beczkowego, żeby się żenił czym prędzej. Ale on zwlekał z żeniaczką.

O jeden raz ludzie we wsi zaczęli trąbić, że Franka będzie mieć baka. Róża z córkami chciała się pospalać od wstydu. Zośka z Julką jeszcze nie tak bardzo bzikowały o to, ale stara i Franka to chciały przecie powariować. Jeszcze by nie, kiedy kaj się ino uszów nadstawiło, to wszędy bili o France jak w bęben, tak kieby już nikt nie miał co innego do gadania, ino o niej. I małe dzieci jak kaj ujrzały Frankę, to zbierały na nią jak na wrony. Nawet jeden parobek, niemowa, też jej nie dał spokoju, ino jej pokazywał rękami coś na migi i kwiczał jak ogier. No, i jakże się tu dziwować innym kiej tu i niemowa umiał dokuczać. Niektórzy nawet to mieli takie niewyparzone pazory, że w oczy starym o tym zaciukowali. Kuba się nikomu o to nie odcinał. Ale baby to się chciały w tyłki pougryzać i zaraz z ludziami zaczynały swar o to. Czasem nawet wszystkie cztery o raz żarły się ze sąsiadami. Nie miały przecie co na nich pyskować. Ale kto chce psa rypnąć, to i kiej zawdy na niego znajdzie. Obce zaś baby we swarze wypucały przed Franką brzuszyska i rozdziierały się na całą wieś. Ludzie pękali ze śmiechu.

Po każdym swarze znowu się w chaupie wszystkie cztery ze sobą gryzły. Stara miała najostrzejszy język, ale i dziewczeczki też się odszczekiwały niezgorzej. Musiały pono, bo przecie im nie było po dziesięć lat i wiedziały do czego urosły i co robią. A jakże. Kuba nie mięszał się do swaru tyle ino co przyganiał: — Aleście wyrchtowały, choroby... Nie słuchałyście mnie, to macie teraz... Póty się pies nie nauczy pływać, póki mu się do uszów nie naleje... Płaczcie teraz zarazy, gryźcie się i łęby se poukrcajcie... Stara ino pyskiem dużo naszczeaka, ale jak przyjdzie wieczór, to córek nie wżenie na łóżko, ino je puści na sad do parobków...

(Dokończenie nastąpi)

## Książka szkolna

J. Rytłowa — A. Pjorunowa — Z. Lewandowski „Wspólnymi siłami” — Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1946 r. — Czytanki dla klasy III szkoły powszechnej.

Problem czytanki do nauki języka polskiego jest przede wszystkim zagadnieniem dydaktycznym. Program języka polskiego na daną klasę stawia pewne istotne cele nauczania, których odzwierciedleniem winny być czytanki zawarte w podręczniku. Chcąc zatem zorientować się co do wartości podręcznika, należałoby pod tym kątem widzenia przeprowadzić dokładniejszą analizę. Nie da się tego uczynić w krótkiej notatce sprawozdawczej. Musimy więc ograniczyć się do ogólnej informacji o przedmiotach mowy treści oraz o sposobie ujęcia książki.

Czytanki w książce „Wspólnymi siłami” dzielą się na cykle. Każdy cykl wyraża zasadniczą myśl, której zobrazowaniem są poszczególne utwory. Czytamy w nich o nowych warunkach, wśród jakich dzieci zaczęły się uczyć po wojnie, o cierpieniu Polski podczas okupacji, o powrocie rodziny do swych warsztatów pracy. Następne cykle wyrażają dążność do odbudowy zniszczonego kraju, mowa o warsztatach pracy. Inne czytanki przedstawiają, jak ludzie wymieniają między sobą utwory pracy, jak dzieła rąk ludzkich wyglądały dawniej i dziś, w jaki sposób powstają.

Podczas czytania książki dziecko żyje w świecie rzeczy, poznaje coraz to nowe „krainy” nieznanych mu przedmiotów świata materialnego. Książka ukazuje dziecku nie tylko świat rzeczy. Przedstawia młodzień i starszych w grupie społecznej. Jakże się zachowuje człowiek w życiu społecznym? Oto dziecko dowiaduje się, że te rzeczy, jakie widzi naokoło siebie, tworzy człowiek własnym wysiłkiem i pracą. W życiu społecznym obowiązują ponadto wzajemna pomoc, przychylność, życzliwe zachowanie się wobec drugich, dzielenie się wszystkim w potrzebie, dokonywanie dzieł wspólnym wysiłkiem, o co przede wszystkim autorem chodziło, skoro ta myśl stała się tytułem podręcznika. W stosunku do innych narodów czytanki podkreślają wrogą postawę wobec Niemców a współdziałanie z narodami słowiańskimi.

Takie oto wartości winny sobie dzieci przyswoić, by wykształcić charakter. Uwypuklenie tych zasad jako najważniejszych znamion charakteru stanowi ważną zmianę w ujęcie systemu wartości wychowawczych. Zmiana ideału wychowawczego z uczuciowego nastawienia na konkretne wyrobienie elementów wo-

li potrzebnej do pracy, oto zasadnicze cechy społeczne, jakimi winna odznaczać się młodzież polska.

Owe poważne myśli znajdują wyraz w utworach, dostosowanych do poziomu dzieci. Czytanki są utworami specjalnego gatunku. Podają istotne cechy czytanki nie jest rzeczą łatwą. Ma ona przeważnie charakter opowiadania, ale krzyżują się w niej także inne rodzaje wypowiedzi. W opowiadaniu wtlacza się nie tylko opisy, ale celowe dyskusje, sprawozdania, materiał historyczny lub reportażowy. Owe pierwiastki w czytance mają bardzo rozmaite rozciągłości i dlatego jedne z nich są podobne do właściwego opowiadania, inne stają się raczej sprawozdaniem lub opisem.

W książce „Wspólnymi siłami” przeważają opowiadania o charakterze sprawozdawczym. Parę tylko czytaneek przenosi nas w świat baśni, gdyż dziecko w tym czasie staje się już „realistą” chce poznać świat. Mniej również jest czytaneek o podłożu historycznym i oyleczajowym. Autorzy dają w przedstawieniu treści do rzeczowości. Sprawozdawcza rzeczowość odbija się w stylizacyjnym opracowaniu czytaneek. Zdania proste, staranność, by wraziły myśl w sposób wyraziisty, trafny, istotny stanowi niezmiernie ważną zaletę formalną, gdyż uwa dzieci wypowiedząć myśli w sposób jasny i właściwy.

„Wspólnymi siłami” to nowy podręcznik nie tylko dlatego, że został dopiero co wydrukowany, ale wnoszą inne wartości wychowawcze w życie szkoły i posiada świadomą swych celów formę. (stk)

WYTWÓRNIĄ SZCZOTEK

**TYC** **BYTOM**

ul. Poznańska 25a

Kupuje

w ł o s koński i bydłęcy oraz

wszelkie surowce szcziotkarskie

Ceny dobre. (52)

## Sprawy teatru

## „Krawiec w zamku“

Sezon teatralny, tak przynajmniej jest u nas w zwyczaj, dzieli się na dwa okresy: zimowy i letni. W sezonie zimowym teatr usiłuje sobie zdobyć publiczność, opinię i poziom, w letnim zaś, kiedy (jak nas zapewnia artykuł z programu) „już maj, w ogrodach przekwitają bzy...“, teatr przezornie głosi się nad przyszłym sezonem i układa repertuar, czyli mówiąc innymi słowami, folguje sobie. Dziwi nas jednak ta pożałowania godna przezorność, która każe teatrówi głosić się nad przyszłym sezonem (biedni aktorzy, jakże wam współczuję). POCO, u licha — powie ktoś — ma to robić cały teatr: od czego jest rada artystyczna, dwóch czy trzech dyrektorów, kierownik literacki... tak, przede wszystkim kierownik literacki. Otóż to. Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, mimo rozbudowanej na wzór M.S.Z-u maszyni administracyjnej, nie ma niestety kierownika literackiego. I to odbija się nie tylko na całokształcie repertuarowym, ale i na opracowaniu każdej niemal sztuki. Ale do tej sprawy wrócimy przy innej okazji.

Biorąc pod uwagę względy „kanikularne“ można przychylić się do życzenia wyrażonego w cytowanym wyżej programie i „nie gniewać się ani brać za złe teatrowi...“ że chce swojej publiczności i sobie dać chwilę odprężenia, wypoczynku i niefrasobliwej rozrywki.

Gdyby chodziło o oryginał ostatniej premiery, grany pewnie w Paryżu z dużym powodzeniem, w trzeciorzędnym, bulwarowym teatryku, to nie warto by mu poświęcić więcej ponad 10 wierszy sprawozdania, ale godny lepszej sprawy wysłłek pp. Krzemienieckiego i Klucznika wymaga co najmniej jeszcze dziesięciu wierszy extra.

Nie znam też blahostki Armonia i Marchanda w ich własnej wersji, słabo pamiętam również jej przeróbkę filmową (z Chevalierem), ale nie ulega wątpliwości, że należy ona do gatunku komedii bardzo lichych i bardzo kasowych, takich, jak np. samego Leopolda Marchanda „Nous ne sommes plus des Enfants“, albo popularne farsy L. Verneuil'a, F. Noziera czy choćby z Savoir'a. Są to blahostki, sięgające do zagadnień społecznych i erotycznych z ich najkompleksyjnymi i najpięknymi stronami, obracające się w kręgu romantycznych przypadków „amour vainqueur“ i „vie opportune“, blahostki, które dzięki specyficznemu marivaudowskiemu sylwetkowi potrafią nawet niekiedy wzruszyć, posiadając przy tym w miejscu najbardziej widocznym etykiety z pełnym nadziei napisem „made in French“. I właśnie ta etykieta jest najbardziej złudna. Wydaje mi się, że prócz nazwisk, nazw miejscowych, obiadowego menu i pomysłu nic nie pozostało w omawianym „Krawcu w zamku“ z tekstu francuskiego. Autorzy przeróbki, jak głosi program, „którzy adaptowali tekst i muzykę do potrzeb naszej sceny...“ starali się przybliżyć go polskiemu widzowi, usuwając to, co dla niego mogło być już nazbyt egzotyczne czy dalekie. No tak, w miejsce egzotycznego dla nas francuskiego dowcipu wsadzili furę rodzimych nonsensów i aktualnych wprawdzie ale zupełnie nie dowcipnych aluzji politycznych. Autorzy przeróbki uprzystępniając sztukę polskiemu widzowi, pozbawili ją właśnie tego, co w niej było, lub mogło być istotne: wdzięk, lekkość, dowcip, „esprit“. W tym cała bieda, że czuło się nie fachową robotę, że zamiast bawić się przez cały czas, czekało na kawały albo gierki aktorów, że miało zupełną świadomość oglądania złego fałszyfikatu. Nawet dobremu pisarzowi nie zawsze wyjdzie dobra komedia.

Może, kierując się wyrozumieniem i życzliwością dla tak potrzebnej placówki jaką jest Teatr Śląski, przyjąłbym próby usprawiedliwienia go w trykocie już cytowanym programie, gdybym nie poczuwał się do obowiązku wyprowadzenia dyrekcji, reżyserów i rady artystycznej z błędnego senniowania, że „Krawiec w zamku“ jest dla nich jakimkolwiek pozytywnym osiągnięciem. Autorzy przeróbki chcieli dać bajkę. Nie udało się. Wysła bzdura. Ale program wyjątkowo „treści (omawianej komedii) nie można analizować ani pod kątem prawdopodobieństwa ani nawet logicznego rozumowania. To przecież bajka...“ Abstrahując od tego, że „bajka“ niczego jeszcze nie tłumaczy ani nie usprawiedliwia, muszę stwierdzić, że termin: bajka oznacza określenie gatunek literacki. Bajka nie jest jeszcze bajką.

No ale za dużo tego. Jeszcze tylko kilka słów o zespole aktorskim. Zrobili wszystko, aby uzasadnić

nazwę utworu: komedia, ale mimo najlepszych chęci nie udało się (za wyjątkiem T. Kondrata) spełnić postulatów komedii muzycznej. Dla Tadeusza Kondrata warto pójść na „Krawca w zamku“. Ale żal jego doskonałej gry dla takiego głuństwa. Dobry był Tadeusz Woźniak, który bezbarwną i nudną postać Roberta potrafił tak wyraźnie ożywić; Jenny Fitto zgrywał się jak autentyczny ksiądz; Kazimierz Lewicki — poprawny; Bronisław Broński naśladował bez większych rezultatów sposób gry dobrych komików: bardzo śmieszny był Marian Jastrzębski. Tania dopisała w stu procentach; p. Zdeńka Topolska była doskonale skonstruowana ze swoim scenicznym małżonkiem; p. Zofię Niwińską rozprętał temperament w sposób niezwykle sugestywny; p. Zofia Węclawówna zagrała z właściwą sobie werwą, tylko że niepotrzebnie ka-

zał jej reżyser być tak długo na scenie częściowo obnażoną. Zupełnie nieźle, choć bez potrzeby, przechadzała się po scenie p. Zofia Dejna, ale to również jest winą reżysera i współautora, który powinien był tę postać jednym pociągnięciem pióra unicestwić.

W konkluzji dochodzę do wniosku, że taka instytucja jak teatr niepotrzebnie marnuje i osobistymi troskami publiczności, za dużo energii i dobrych pomysłów marnuje na wynalezienie sposobu odciążenia jej od tych trosk repertuaru wypoczynkowym i aż za lekkim. Nie wiem, czy publiczność nie woli wypoczywać w kinie lub w domu, bo ja osobiście czekam na sztukę, przy której bym wieszcie przestał wypoczywać i denerwować się, ale która by mi dała naprawdę solidne i męczące przeżycie.

Bogdan Butryczuk.

## Życie muzyczne Katowic

Niedawnym koncertem symfonicznym Filharmonia katowicka uczciła pamięć Karola Szymanowskiego Uwerturę koncertową, sześć pieśni i IV Symfonię (Symphonie concertante), dając ciekawe zestawienie pierwszego utworu symfonicznego z widocznymi jeszcze wyraźnie wpływami Ryszarda Straussa, z ostatnim wielkim dziełem symfonicznym, IV Symfonia op. 60, znacząca już stygmatem jego genialnej indywidualności. Również w pieśni usłyszeliśmy pierwsze i ostatniego Szymanowskiego, o „Lubędzia“ do pieśni Kurpiowskich.

Wykonawcami tego pięknego koncertu byli: Irena Lewińska — sopran, Zbigniew Drzewiecki — fortepian, Orkiestra Filharmoniczna pod dyrykcją Zbigniewa Dymka, który jednocześnie był wykonawcą partii fortepianowych pieśni Szymanowskiego.

Wykonanie Uwertury i Symfonii mimo nie dość mocnych smyczków wypadło nadszperowane dobrze. Zbigniew Dymek okazał się wytrawnym muzykiem, doskonale orientującym się w skomplikowanych partyturach współczesnych i umiejętnie je realizującym. W Uwerturze zwłaszcza doskonale dynamicznie skonstruowaną, rozporządzając kolosalną rozpiętością dźwiękową, dał Dymek dowód całkowitego panowania nad orkiestrą i swoich zdolności dyrygenckich. Praw-

dopodobnie zmęczony dyrygowaniem Uwertury, akompaniując Lewińskiej w pieśniach, nie dość dobrze wyczuwał fortepian, naruszając pożądaną równowagę dźwiękową.

Zbigniew Drzewiecki zgodnie z intencjami kompozytora w koncercie Symfonii pozostał jednym z głównych, lecz nie jedynym wykładnikiem myśli. Zdecydowanie pewny technicznie i świadomy swojej roli, z wielką jasnością i plastyką podawał zarysy tematów powierzonych fortepianowi, w innych zaś momentach z umiarem i muzykalnością wypełniając zarysowane kolorystyką orkiestralną zadania.

Irena Lewińska w sposób zadawalający najwyższe wymagania pod względem interpretacji, piękną głosem i niełatwą w Szymanowskim stroju intonacyjnej, wykonała dwie wczesne pieśni i cztery pieśni Kurpiowskie, wzbudzając w słuchaczach zachwyt i długotrwałą burzę oklasków na sali.

W niedzielnym (28. IV.) poranku radiowym, w części pierwszej poświęconej Beethovenowi Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia wykonała w sposób mało interesujący uwerturę do „Fidelii“ oraz z Adamem Kopycińskim jako solistą, Koncert Fortepiano-owy ES-dur.

## ROK ZIEMI OBCEJ

Kazimierz Koźniewski: „Rok Ziemi Obcej“ (Kraków) — nakładem Spółdzielni Księgarskiej „Czytelnik“, str. 180, 2 ni i 15 ilustr.

Koźniewskiego znamy już jako dobrze zapowiadającego się publicystę i autora powieści-réportażu (drukowanej obecnie przez tyg. „Przekrój“).

Koźniewski ma niewątpliwy dar obserwacyjny, a jego oryginalny i ciekawy sposób wnioskowania uaktualnia nawet tematy „chronologicznie późnione“: „Petaim“ w „Tygodniku Powszechnym“.

„ROK ZIEMI OBCEJ“ można by sklasyfikować jako pamiętnik-reportaż; dobrze się stało, że z biegiem rozdziałów książka traci charakter pamiętnikarski na rzecz szerokiego reportażu.

O ludziach, którzy przez „zieloną granicę“ szli walczyć za Polskę na ziemi obcej, wiemy bardzo niewiele (trochę od Ksawerego Pruszyńskiego). Z podwój-

nym więc zainteresowaniem czytamy tę książkę (podwójnym — bo napisana jest bardzo żywo).

Jedynie zastrzeżenie budzi język: sposób budowania zdań jest miejscami dziwaczny i zakłócający — co tym więcej razi, że na ogół Koźniewski umie posługiwać się stylem reportażowym: zwięzłym i dynamicznym. — Niedociągnięcia te, przypuszczam, są następstwem warunków (i tempa) w jakich książka była pisana. Miejmy nadzieję, że drugie wydanie (nie wątpię, że pierwsze szybko się rozejdzie), przed drukiem przejdzie uważną korektę — — warto!

„ROK ZIEMI OBCEJ“ obejmuje okres 1940—1941. Po sławnej swego czasu w Warszawie historii Kota (nie mieszczą z Janem Kottem), dwudziestoletni wówczas Koźniewski zmuszony był opuścić Warszawę i zwyczajem wielu młodych ludzi, przez zieloną granicę „wywiał“, najpierw

Adam Kopyciński, poprawny technicznie, brzmieniem instrumentu, ani interpretacją nie wzbudził większego zainteresowania. Grze jego brak było najistotniejszego elementu, stanowiącego o pełnowartościowości odtwarzanej muzyki: wewnętrznego uczuciowego stosunku do wykonywanego dzieła.

Podobnie, bez przekonania, dyrygował orkiestrą Włodzimierz Ormicki, brzmiała też nieciekawie, miejscami brzydło.

W części drugiej usłyszeliśmy w pierwszym wykonaniu dwie nowe kompozycje polskie: Feliksa Rybickiego tryptyk na orkiestrę smyczkową pt. „Trzy nimfy“ i Witolda Kalki-Rowickiego „Symfonieta“ na wielką orkiestrę symfoniczną.

„Trzy nimfy“ Rybickiego — Marząca, Tańcząca i Placząca, to dobre w wyrazie i charakterystyce, zgodnie z treścią zawartą, w tytułach obrazki. Łątwo zrozumiale, dobrze napisane, są tym właśnie gatunkiem muzyki, o który tak głośno wołają organizatorzy koncertów szkolnych, młodzieżowych, robotniczych itp., powinny też zdobyć mocną pozycję w programach koncertów popularnych.

„Symfonieta“ Witolda Kalki-Rowickiego, to kompozycja, która po jednokrotnym usłyszeniu została wrażeniem świeżości i młodzieńczej fantazji. Szczególnie część pierwsza i trzecia, żywe w rytmie, dobrze brzmiące, ubrane w ciągle zmieniającą się pomysłowo, niejednokrotnie zupełnie oryginalną instrumentację zrobiły bardzo korzystne wrażenie. „Symfonieta“, to świadectwo młodego talentu, szukającego własnych dróg i sposobów wypowiedzenia, jest również dowodem znacznego opanowania techniki kompozytorskiej.

Bardzo interesująca pozycja w życiu koncertowym Katowic był wtorkowy (30. IV.) występ kulturalnej śpiewaczki Olgi Łady. Program koncertu obejmował t. zw. Negro spirituals, pieśni nabożne murzynów północno-amerykańskich, oraz Indian Songs, pseudo-indiańskie pieśni czerwonoskórych, ongiś władców Ameryki.

Z „jazzem“ i jego skomplikowaną, niezwykle ożywioną rytmiką zżyliśmy się już, zapominając nieraz o jego murzyńskim pochodzeniu. Wpływy murzyńskie nie ograniczają się jednak tylko do muzyki tanecznej, przenikają one i do innych rodzajów twórczości muzycznej, nie wyłączając poważnej muzyki symfonicznej. W pieśniach nabożnych są one mniej widoczne. W wielu z tych pieśni pierwiastki murzyńskie są prawie niedostrzegalne, natomiast wyraźnie zaznacza się wpływ europejskiej muzyki kościelnej.

Niezwykłe piękno tych pieśni, ich czar swoisty i poezję pokazała nam sztuka odtwórczo Olgi Łady w całej pełni. Zachwycił się w równym stopniu pieśniami, jak i wysoką klasą sztuki wokalne artystki. Pieśni murzyńskie w wykonaniu Olgi Łady są ewenementem artystycznym, wzbudzającym zainteresowanie zarówno muzyków jak i laików muzycznych.

M. Józef Michałowski.

na Węgry, później poprzez Jugosławię i Włochy do Francji, by tam zaciągnąć się w szeregi Armii Polskiej. Po szybkiej i nieoczekiwanej kapitulacji Francji, jak większość, ewakuuje się do Anglii, gdzie przebywa aż do momentu, kiedy od władz swoich otrzymuje rozkaz powrotu do kraju; w czerwcu 1943 r. autor „Roku Ziemi Obcej“ znów ląduje w G. G. i... w pracy konspiracyjnej.

Z książki Koźniewskiego dowiadujemy się nie tylko o tym, jak układały się warunki życia Polaków (żołnierzy) we Francji i później w Anglii, ale — co jest najciekawsze — o życiu tych krajów w latach 1940—1941.

Fakty polityczne, postawa społeczeństwa francuskiego (zła) i angielskiego (wspaniała) w czasie wojny, stosunek tych narodów do Polaków — wszystko to w barwnych migawkach przewija się przed oczami czytelnika tego interesującego reportażu.

Wydawnictwo („Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik“ — t. zw. „Mały Czytelnik“) zapowiada nową książkę Koźniewskiego pod tytułem: „Przez Dziesięć Wojen“ — czekamy z zainteresowaniem.

Stanisław Ostrowski.

## Patrzymy na ekran

Bieżący tydzień filmowy w Katowicach nie przynosi niczego wykraczającego poza przeciętność. Z ciekawych filmów wymienić należy: „Było ich dziesięciu“ (kino „Rialto“) oraz „Niewidzialny wróg“ (kino „Zorza“).

Pierwszy z tych filmów przynosi sfilnowane (powiadanie angielskiego sierżanta o losach afrykańskiego patrolu, obłączonego w opuszczonej grobowcu pustynnym przez Włochów. Poza jednak dobrą fotografią i kilkoma „gagami“ reżyserскими (np. rozbita kulą manjerka z resztką beczennej wody) — nie przynosi niczego nowego. Obsada poprawna.

W „Niewidzialnym wrogu“ Victor Mac Laglen uosabia nieujarzmioną siłę witalną samouka — inżyniera okrętowego, który utrzymuje w ryżach całą załogę podokładzia transatlantyku, na którym wybuchła cholera. Fabuła na ogół ciekawa, nie przynosi jednak niczego nowego dla widza, ani w koncepcji realizatorskiej, ani wykonawczej. W walce z niewidzialnym wrogiem — mikrobrami cholery, zwycięża człowiek-lekarz, zamknięty dobrowolnie w przedziale zagrożonym cholerą. Quod erat demonstrandum.

Należało by wspomnieć jeszcze o jednym filmie, choćby z innych groźb powodów. Mysłimy: o „Korsarzach Północy“ (kino „Casino“). Jest to film tak zwany kolorowy. Mówimy: „tak zwany“, bo widzenie potraktowani nieopatrznie tą orlą jadowitych barw, która przewala się na ekranie, mogą stracić na całe życie ochotę do uczęszczania na takie filmy. Straszliwe jest tam njebo koloru farby do bielizny, drzewa i trawy w barwie, jak się wyraził kol. Brzoza: „grypszanu“ oraz plawiące się w potwornej, oślepiającej czerwieni — mundury „Królewskiej Konej z Kanady“. Co komu z takiego filmu, poza lekarzem-okulistą — nie wiadomo. Aż żal człowiekowi, że w tym piekle kolorów gubi się prześlizną, mała dziewczęczka — która od pierwszej sceny zyskuje sobie serca całej widowni swoim łobuzerskim wdziękiem.

Przy okazji, choć nie a propos musimy dać wyraz swemu zdziwieniu, że w żadnym z naszych pism codziennych nie ma stałego programu katowickich kinoteatrów. A przecież wypadłoby je umieszczać choćby ze względu na lojalny stosunek do kinofikacji, która przydziela redakcjom bilety wolnego wstępu oraz w interesie własnego czytelnika. Albo.

## Książka Ziemi Odzyskanych

Przepisy prawne z zakresu samorządu terytorialnego, opracowane przez dra T. Karcewskiego, mgra W. Niepiekto, mgra O. Skrzypca i J. Haukego, z przedmowami Wojewody Śląsko-Dąbrowskiego, gen. dyw. Al. Zawadzkiego oraz Wicewojewody plk. J. Ziętka, stron 426, rok 1946, Katowice, Urząd Wojewódzki Śląsko-Dąbrowski.

Książka ta jest pierwszym powojennym wydaniem przepisów z zakresu samorządu terytorialnego w Polsce z wybitnym wyróżnieniem przepisów ustrojowych. Autorzy znając kompletne braki w zakresie podstawowych przepisów samorządowych, zwłaszcza zaś na Ziemiach Odzyskanych, które to braki wręcz uniemożliwiają pracę w terenie, z drugiej zaś strony uwzględniając konieczność wielu wyjaśnień oraz usunięcia z przedwojennych samorządowych przepisów ustrojowych norm prawnych już uchylonych a przez to zaciemniających jasność przepisów obowiązujących, w sposób odważny i zdecydowany, postanowili braki te uzupełnić. Dlatego też książka ich z jednej strony zawiera kompilacje najczęściej w praktyce samorządowej stosowanych przepisów prawnych, z drugiej zaś zaktualizowanie, usystematyzowanie i skomentowanie podstawowych przepisów ustrojowych, obecnie obowiązujących.

Z kolejnym celem ułatwienia praktykom samorządowym, stosowania zawartej w książce treści, autorzy opracowali ją systemem poruszającym odnośne zagadnienia w odrębnych ustawach, dekreтах bądź rozporządzeniach. W ten sposób dali oni tym ostatnim możliwość nie tylko zastosowania odnośnego przepisu w ujęciu zaciemniającym lecz krytycznego jego stosowania oraz szerszego ujmowania załatwianych przez nich zagadnień. Autorzy niewątpliwie osiągnęli tym realizację zasady, że „samorząd jest szkołą życia publicznego“.

W celu rozwiązania wielu piętrzących się kwestii, a to w związku ze zmianą nie tylko formy lecz i ducha ustawodawczego, na tle nadania w ustawodawstwie polipocowym samorządowi terytorialnemu w Polsce znacznie szerszych podstaw społecznych niż to miało miejsce dotychczas — autorzy oparli się w zaktualizowaniu oraz zaopatrzeniu objaśnieniami części ich pracy, odnoszącej się do ustawy samorządowej z marca 1933 r. i wydanych do rozporządzeń wykonawczych, o wytrawnym komentatorze spraw samorządowych w Polsce, naczelnika Wydziału w Ministerstwie Administracji Publicznej mgra B. Trzebskiego.

Do książki dołączono opracowany przez wymienionego 15-stronnicowy aneks pt. „Przepisy dzielnicowe w zakresie samorządu miejskiego i powiatowego dla obszaru Ziemi Odzyskanych“.

Całość pracy ujęta jest syntetycznie i zawiera pokątną ilość podstawowych źródeł prawnych z zakresu samorządu terytorialnego, otwierając przed czytelnikiem najaktualniejszy ich zasięg, bo po dzień 5 marca 1946 r.

Jakkolwiek książka jest objętościowo duża i można by się obawiać, że z tego powodu cena będzie hanulem w jej nabywcy, to jednak autorzy chcą, by spełniła ona swój cel i dotarła tam, gdzie drogie dzieło dostępnemu ma utrudnione, ustalili dzięki okazałej im pomocy ze strony wicewojewody plk. Ziętka cenę, trzeba przyznać, niską. (160 względnie 180 zł.)

Przejrzenie ułożony spis rzeczy ułatwia znakomicie opisanie „Przeписami prawnymi“.

Nic też dziwnego, że organ Krajowej Rady Narodowej pt. „Rada Narodowa“ z dnia 28 kwietnia 1946 r. wydał pochlebną o omawianej tu książce recenzję, że Ministerstwo Administracji Publicznej zaleciło ją do służbowego użytku, zaś Ministerstwo Ziemi Odzyskanych zakupiło ją dla samorządów Ziemi Odzyskanych.

Zdaniem naszym książka ta winna się znaleźć tak w rękach praktyków jak i teoretyków samorządowych.

Stanisław Kasztelowicz i Józef Madeja „Mówimy po polsku“. Podręcznik do nauki języka polskiego. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Warszawa — Katowice. 1946 r. Str. 264.

Na Ziemiach Odzyskanych młodzież można podzielić na trzy grupy. Do pierwszej grupy należy młodzież, która przerobiła materiał szkolny w dostateczny sposób i dlatego może się uczyć według przewidzianego programu. Druga pochodzi z miejscowej ludności i słabo włada językiem polskim. Trzecia nie miała sposobności nauczyć się po polsku. Dwie ostatnie grupy młodzieży wymagają ze strony władz oświatowych specjalnej troski i innego podejścia w sposobach nauczania. Zasiała przede wszystkim konieczność stworzenia dla tej młodzieży specjalnego podręcznika. Takim właśnie podręcznikiem jest „Mówimy po polsku“.

Celem podręcznika jest nauczanie młodzieży mowy polskiej w takim zakresie, by mogła się nim porozumiewać. Podręcznik ma charakter samouczka, dlatego stosuje technikę nauczania naśladowania na metodach języków nowożytnych. W tym tkwi oryginalność książki, gdyż dotąd zagadnienie podręcznika języka polskiego dla tych, którzy go nie znają, nie zostało opracowane ani teoretycznie ani praktycznie.

Pierwsza część książki jest podobna do elementarza i ma na celu zapoznanie ucznia z polskimi głóskami i literami. Równocześnie uczeń poznaje pewien zasób słownictwa na podstawie ilustracji. Wyrazy poznane

## Glossy i notatki

## „PROPONUJEMY REDAKCJI, BY ODCZULA...”

Niektóremu piśmie, wychodzącemu w tak zwanej óródkowej Polsce — ho o Katowicach i Poznaniu mówi się z nawiązką myślowego Polska z a c h o d n i a, choć miasta te są bliższe pojęciu óródkowej Polski, niż np. Warszawa czy Łódź — wydaje się, że sprawy niemieckie i sprawy Ziemi Odzyskanych winny z zasady interesować tylko „Odrę”. Niektóre piśmo powiada: Zajmujcie się na swoim podwórku zagadnieniami zachodnimi, głównie śląskimi, a nie mieszajcie się do naszych spraw, wy sobie, a my sobie. Mówi się nam dość często o naszych zadaniach, poucza się nas, co należy zamieszczać, a co nie i jaki dział u nas nie powinien być „teremem harców Agi”.

Powiada się dalej, że „zastanawiająca jest walka, jaką prowadzi „Odra” z tygodnikami literackimi, reprezentującymi niekatolicką platformę myślenia”, wreszcie nam się pewne rzeczy proponuje, byśmy pewnie rzeczy odczuli („proponujemy redakcji „Odrę”, by odczula, że, i t. d.).

Co my na takie dictum możemy proponować redakcji niektórego pisma? Ano, chyba dalsze pilnie czytanie „Odry”. „Odra” wbrew pobórnym życzeniom niepobórnym marksistów polskich nadal będzie rzetelnie walczyła nie tylko o swe sprawy nadodrzańskie, ale także o reprezentowany przez „Odrę” światopogląd katolicki; tudzież o wszystkie inne sprawy polityczne, społeczne i literackie, jakie się wylaniają i będą się wylaniać w życiu całego naszego narodu.

A poza tym proponujemy niektórej redakcji, by odczula na przykład niewyraźny smak recenzji, jaką zamieszcza z książki dr. Antoniego Wrzeska pt. „Nad Odrą i Nysą”. Dobroliwy uśmiech pobłażania dla mauluczkich pojawił się na ustach znakomitego geografę polskiego, gdy czytał to omówienie swej pracy.

Zby.

## WYDAWNICTWO POCZTÓWKOWE

Wyszły z druku dwie dalsze serie artystycznych pocztówek-illustracji, reprodukcji najcenniejsze zabytki architektury i sztuki Ziemi Odzyskanych, a także pokazujących piękno krajobrazu tych ziem. Wydawcą tych pięknych pocztówek jest ruchliwy Instytut Zachodni w Poznaniu. Celują starannym doborem reprodukcji, wyrazistością i czystością wykonania. Zwłaszcza podoba się seria III, na którą składają się tylko cztery, lecz za to wielobarwne pocztówki, przedstawiające książki piastowskich średnio-wiecznego Śląska, a to Bolka I i Bolka II świnińskiego, Henryka IV Probusa i Henryka Pobożnego. Seria druga składa się z 28 pocztówek, reprezentujących przede wszystkim zabytki Śląska Dolnego i Pomorza Mazurskiego. Wyczerpujące podpisy rozszerzone o objaśnienia szczegółowe, które wiążą reprodukcję zabytku lub postać z szerszym tem faktycznym — powodują, że te wydawnictwa mogą się stać cenną pomocą w dziele poznawania Ziemi Zachodnich, nie tylko dla szkół, ale i dla dorosłych. Szkoda tylko, że objaśnienia nie uzupełniono wzmiarkami o obecnym stanie zabytku: „zrujnowany”, „spalony”, lub „do dziś istnieje”.

Zby.

## CZYTAMY PRASĘ

Każdy, komu leży na sercu rozwój kultury polskiej z prawdziwą troską obserwuje sytuację, w jakiej żyją i pracują polscy naukowcy. Zwłaszcza naukowcy, żyjący i pracujący na Ziemiach Odzyskanych (np. we Wrocławiu, Gdańsku czy Olsztynie), podchodzący do swych zadań z żywotnym entuzjazmem i bezinteresownością — znajdują się częstokroć w bardzo krytycznych warunkach materialnych. Dobrze się teży stało, że zagadnienie to zostało nareszcie w sposób poważny poruszone. Anatol Listowski w nr. 20 „Odrodzenia” („O nauce i uczonej”) omawia sytuację uczonych polskich, pisząc m. in.:

„Najczęstszym typem naukowca będzie człowiek oddany nauce, widzący w uprawianiu jej radość i najważniejszy cel życia. Są to na ogół marzyciele, ludzie o mniejszych zdolnościach do walki o byt, ale poza tym zwykli, normalni; pragną mieć dom, rodzinę i możliwość zaspokojenia takich samych jak inni potrzeb kulturalnych, rozrywkowych i materialnych. I tak powinno być. Aby się poświęcić nauce, trzeba być bogatym, może nawet lepiej nie być bogatym, ale jednocześnie nie można martwić się o obiad, poczynając od połowy każdego miesiąca. Kupienie butów nie może być katastrofą życiową. Pójście do teatru nie powinno być związane z obciążeniem dania obiadowego. A tak właśnie jest. „Pełny” zwyczajny profesor otrzymuje około 5 tys. zł., asystent około 2 tys. Asystent, jak określa ustawa, a także niektórzy profesorowie, t. zw. pomocnicza siła naukowa, to — choć nie śmietanka i nie splendor nauki, ale to nie początkujący adept, lecz pełny pracownik nauki, często też nie młodziak, ale dzieciaki i żonaty, z siwizną na skroniach.

Wszyscy wiemy, że jest ogólna bieda, ale wydaje się, że jeszcze nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak zarabiają pracownicy nauki. I z tego, że w tych warunkach tylko nieduży procent może sobie pozwolić na pracę naukową nie dorywczo, lecz stanowiącą główne zajęcie. Przypokro jest o tym mówić, bo wiemy, że państwo nie może radykalnie tego stanu zmienić. Ale taki stan rzeczy odbija się bardzo silnie na rozwoju nauki w Polsce.”

Z satysfakcją notujemy, że zainicjowane przez „Odrę” rozważania na temat problemu kulturalnego Ziemi Odzyskanych, problemu, który jest naszym zdanem problemem podstawowym, centralnym w całości zagadnień t. zw. repolonizacyjnych — zaczynają interesować inne czasopiśma polskie. Mówiliśmy już swego czasu o wydawanym przez poznański „In-

stytut Zachodni” — „Przeglądzie Zachodnim”; dziś zwracamy uwagę na ciekawy artykuł dr. Aleksandra Rogalskiego w tygodniku „Polska Zachodnia” (nr. 20, z dn. 19. V.) („Perspektywy kulturowe Ziemi Odzyskanych”), w którym autor stwierdza, m. in. fakt stałego czerpania przez nasze pokolenie z zasobów wartości kulturalnych, stworzonych przez pokolenie romantyczne. Żyjemy Mickiewiczami, ich wysiłkiem, ich heroizmem, ich mentalnością, sami nie umiemy stworzyć dzieła, które by odpowiadało wielkości naszych czasów; nie umiemy wyczuć nas z e j chwili, n a s z e g o biegu historycznego.

„Zdobylismy się tylko na pobrękanie ich słowami. Postępujemy się tylko ich obrazami, ich zwróceniami, ich myślami — dla oddania jednych, niepowtarzalnych, wszystko do dotąd było przekraczających wydarzeń i przesyła! Tamci opanowali dzieje, opanowali rzeczywistość, nas chaos opanował. Echem jesteśmy tylko pokolenia romantycznego i następnym przetrwórczym już tylko pokolenie, ponieważ echem ech.”

Pewien statyzm historyczny, o którym wspomina A. Rogalski uwidocznia się w wielu dziedzinach całkiem praktycznie, namacalnie niejako. Na przykład: tyle razy wspominało się na tych lamach o konieczności rzucenia na Ziemię Odzyskaną książek, broszur, gazet, tyle odbyło się nie tylko w Katowicach, ale także w Warszawie i Poznaniu konferencji, omawiających formy realizacyjne tego problemu, a tymczasem... a tymczasem miesiące mijają, w centralnej Polsce powstaje jedno piśmo za drugim, broszury partyjne zalewają rynek, jest papier, są pieniądze na wiele niepotrzebnych wydawnictw — a Ziemię Odzyskaną się ciągle bez książki. Słusznie pisze „Odrodzenie” (nr. 12, z dn. 19. V.):

„Rozmowy z ludźmi, którzy przesiadli się na Zachód, często kończą się dziwnym westchnieniem. Niby znaleźli tu warsztat pracy, rozumieją swoją pionierską robotę, a jednak... A jednak jest coś, co budzi w nich dziwne westchnienia. Nie mogą się pogodzić, że zostawia ich społeczeństwo polskie bez pomocy moralnej. Umieją sobie wyperswadować brak masła, a nawet chleba. Nie potrafią zrozumieć dlaczego nie mają swoich gazet, swoich książek. Prasa śląska, prasa pomorska żądać czyni tym potrzebom. Lecz bardzo skąpo. W miastach powiatowych można o pewnych godzinach nabyć gazetę. Wiad jednak jest zupełnie bez pisma. Poza tym są to gazety specjalne, partyjne. Gazet informacyjnych o materiale lekturowym nie mamy zupełnie. Na terenach zachodnich głód takiego czasopiśma jest obrzydliwym. Jakże tu oddziaływać dla polszczyzny dodatnio, gdy nie ma elementów środków, które by wskazywały na atrakcyjność naszej kultury.”

Jakże bardzo cenieliśmy pod tym względem w porównaniu z czasami Miarki czy Chociszewskiego! Zby.

## Pod znakiem defeudalizacji

Dr. Mieczysław Tobiąsz. Szlachta i możnowładztwo w dawnej Polsce. Skład główny „Ex libris”, Kraków, św. Marka 22, 1946.

Książce należy przypisać właściwej chwili, w której się pojawiła. Nie było przecież dotąd na przestrzeni tysiąca lat momentu, kiedy trybunał spojrzenia na warstwę, kierującą polskimi poczynaniami politycznymi, było takie nagłe, potrzebne i konieczne.

Nastroju właściwego dla takiej książki trudno było by szukać nawet w epoce rozbiorów, bo próby ocena kraju podejmowali ludzie, z klasy feudalnej się wywodzący. Poprzez dziesiątki lat bytu pod obcym panowaniem dwór nadal i inteligencja, ze szlachty się wywodząca, brał w swe ręce sprawę narodową.

Nawet druga Rzeczpospolita w ostatnich 20 latach przez powrót na dawne ziemie wschodnie wykazywała duży stosunkowo odsetek rodzin kresowych, polskich kolonizatorów.

Nikt kto stara się zachować ciągłość życia państwowego i politycznego nie może mieć szczególnej pretensji do pewnej warstwy społecznej, że brała czynny udział w tym życiu. Zarzuty dotyczące źle metody stosowanej w działalności politycznej tego uprzywilejowanego odłamu w narodzie. Zwyródnienie poszło stąd, że gdy nie stało Piastów i gdy nowa dynastia pragnęła osiągnąć tron polski, szła za daleko w targach ze szlachtą. Ludwik Węgierski dał przykład w tym kierunku. Kazimierz Jagiellończyk pod Cerekwicą i Nieszawą, dążąc do doróżnych celów w wojnie trzynastoletniej, skrzywił i zniekształcił polski ustrój polityczny i utworzył drogę wszechwładzy szlacheckiej.

Przywiązanie chłopów do gleby, uniemożliwienie mieszczaństwu dorabiania się swobodnego w mieście, wycięcie królów elekcyjnych ze wszelkiej władzy przez szlachtę to próby zapewnienia sobie monopolu w kierowaniu państwem.

Jeżeli dodać do tego liberum veto i przepukstwa w sejmie, to starczy tego, byśmy odwrócili się niechętnie od fatalnej gospodarki i polityki herbowej warstwy. Książka dra Tobiasza przychodzi nam z pomocą przy wpatrywaniu się w nieszczęsną przeszłość. Autor nie występuje z inwektywą, moralizowaniem, biadaniem, lecz gromadzi fakty za faktami, żeby

## Tragedia książki

Miłośnicy książki z radością wezmą do ręki przepięknie pod względem typograficznym wydaną książeczkę Antoniego Trepińskiego p. t. „Ostatki polskie”. Nawzisko zastrzyżonej firmy krakowskiej W. L. Anczyca i Sp. mówi samo za siebie. Kilka bardzo dobrych rysunków Edwarda Głowackiego doskonale uzupełnia treść książki. A treść to niezmiernie ciekawa, oryginalna i frapująca wprost zarówno swym literacko-artystycznym ujęciem, jak i ideologią. Jest to coś jakby lament Polski nad krwawą hekatombą narodowej książki, ujęty w szereg swoiście skomponowanych fragmentów, zaczynających się od sui generis litanii do Matki Boskiej, opiekunki tej „skarbnicy mądrości”, poprzez treny, płacze i elegie nad tragicz-

nie i lekkomyślnie zmarnowanymi skarbami kultury polskiej podczas nieszczęsnego powstania warszawskiego, — (surowo przez autora potępione!), aż do apoteozy książki, jako jedynego miernika wartości człowieka i to samego sobą przewyższającego wartość przeciętnego człowieka, ba nawet setki i tysiące przeciętnych ludzi. Stanowisko to doprowadza autora do pozornych, a głębokich paradoksów, w rodzaju twierdzenia, że zniszczone tak tragicznie w Warszawie, zbiorę ksiąg i rękopisów Biblioteki Krasińskich, Narodowej, Rapperswylskiej i in. „więcej były warte od stu tysięcy jakichkolwiek żywotów ludzi współczesnych”. Książka porywa swą głęboką miłością polskiej książki i polskiej kultury, której pragnie bronić przed dalszym ludzkim barbarzyństwem i ignorancją. Zasługuje na jak najszerze rozpowszechnienie.

tg.

Stanisław Heiszyński.

## Co robią Niemcy

Pisano już o tym, że w ankiecie władz amerykańskich wśród żołnierzy armii okupacyjnej na pytanie czy Niemcy winne są wywołania drugiej Wojny Światowej, niemal 50% odpowiedzi brzmiało: nie! Obecnie mam przed sobą rezultaty innej ankiety. Tym razem zadano żołnierzom amerykańskiemu pytanie, czy uczucia jego w stosunku do Niemców są wrogie czy przyjazne. Z pośród oddziałów, które świeżo przybyły ze Stanów Zjednoczonych, aby objąć służbę w strefie okupacyjnej a z Niemcami — ani z Niemcami — nie miały jeszcze kontaktu, za przyjaźnią z niedawnym wrogiem opowiedziało się 34% zapytanych. Odsetek ten urosł do 42% u żołnierzy, którzy spędzili mniej niż cztery tygodnie w Niemczech, rósł dalej do 54% u tych, którzy na ziemi niemieckiej znajdują się już od 1 do 2 miesięcy aby osiągnąć 59% u tych, którzy znajdują się w Niemczech dłużej niż 2 miesiące.

Ta niezwykle charakterystyczna statystyka nie tylko obrazuje wzrost przyjaźni amerykańsko-niemieckiej na ruinach rozgromionego narodowego socjalizmu, ale również wskazuje źródła takiej przyjaźni. Tkwią one w samych Niemcach. Świadczy o wielkiej mądrości życiowej tego narodu i o umiejętności przystosowywania się do rzeczywistości.

Sprawa jest bardzo prosta i jasna. Niemcy nie czują wrogości w stosunku do Amerykan. Przeciwnie — czują się spokrewnieni z nimi zarówno rasowo, jak pod względem kultury, języka, stopy życiowej, zdobyczy cywilizacyjnych — oczywiście przedwojennych — i jeżeli można mówić o jakimkolwiek stosunku emocjonalnym Niemców do przybyszów z oceanu, stosunek ten nazwać by można czymś w rodzaju nieszczyśliwej miłości. Jeśli prusko-niemiecka chęć dominowania nad innymi narodami i narzucania im w sposób brutalny własnej racji politycznej wynika — jak to nieraz bywa u ludzi — z chęci zrehabilitowania kompleksu niższości, to ten właśnie kompleks niższości odczuwają Niemcy w stosunku do anglosaskiej kultury i angielskiego języka. Stąd Amerykanie napotykać na szacunek, zrozumienie i nadskakującą przyjaźń u Niemców. Stąd przede wszystkim samotny żołnierz armii okupacyjnej ukoń może swoją nostalgię w ramionach kobiety niemieckiej. A społeczeństwo niemieckie, zapatrzone z podziwem w wyższość cywilizacyjną Ameryki, — kobiet swoich, rzucających się na szyję przedawemu wrogowi, nie piętnuje. Wypadków, mijających fanatycznej młodzieży czy przedstawicieli mitycznych „wilkolaków” posmarowali smółką i obcieli włosy dziewczynie, „fraternizującej” się z obcymi żołnierzami, nie było niemal zupełnie. Natomiast władze wojskowe amerykańskie oceniają, iż 70% żołnierzy „chodzą” z Niemkami. Niebezpieczeństwo polega na tym, że duża jest liczba żołnierzy amerykańskich przybywających na kolejny kilkumiesięczny czy roczny pobyt. Są to przeważnie młodzi chłopcy, kwiat narodu amerykańskiego. Powrócą do Stanów Zjednoczonych, aby przedrzeć czy później za-

jąć odpowiedzialne stanowiska. To oni będą kształtować — jako społeczeństwo — opinię publiczną. Ich zapatrywania nadadzą kierunek i barwę przyszłej polityce Stanów Zjednoczonych. W ten sposób wpływ decydujący na losy świata. A „... naród który nie potrafi odróżnić istotnych wrogów od prawdziwych przyjaciół, zmierza ku katastrofie”, jak mądrze stwierdził publicysta amerykański Richard Joseph.

Ten ostrzegawczy głos amerykański nie jest bynajmniej odosobniony. Podobnych wywodów można by zacytować dużo, przynosi ich niemal codziennie prasa amerykańska. Zwróćmy np. uwagę na artykuł zamieszczony w numerze z dnia 29 kwietnia w „New York Herald Tribune”. Korespondent tego pisma z terenu Niemiec okupowanych, Edwin Hartwich, pisze w artykule pt. „Fraternizacja przekreśla zamiary Ameryki”.

„Z każdym dniem stosunek między Amerykanami a kobietami niemieckimi staje się bardziej otwarty i towarzysko dopuszczalny... „Samotność i jałowość zadania okupacyjnego — ograniczającego się do strzeżenia urządzeń i ludzi — wywołuje nudę. Rezultat staje się nieunikniony. Zarówno officer jak i zwykły żołnierz szukają sobie przyjaciółki... „Oprócz powodów sentymentalnych są i inne. Posiadają papierosy, słodycze, mydła i inne ważne rzeczy — żołnierz amerykański jest osobistością wartą zachodu. Pierwszy lepszy Fritz czy Hans nie mogą z nim pójść w zawody o łaski Fräulein... „Jaki jest stosunek oficjalnych amerykańskich czynników wojskowych do tych niepokojących zjawisk? Pewne wnioski wyciągnąć można z materiałów wydanych przez armię amerykańską w Niemczech jako tematy dla przemówień przed oddziałami. Czytamy tutaj:

„W stosunkach z niemiecką ludnością cywilną, uważny żołnierz szybko uświadomił sobie niebezpieczeństwo tkwiące w okazywaniu przyjaźni Niemcom, którzy ciągle jeszcze są nosicielami faszystowskich idei wyższości Niemiec nad innymi narodami i którzy holdują błędnym uprzedzeniom w stosunku do Żydów, Polaków, Rosjan i innych narodów. Odbudowa Niemiec według wytycznych demokratycznych niewątpliwie będzie opóźniona, jeśli dawniejszy lub dzisiejszy nazista znajdzie sobie sympatyków w szeregach armii amerykańskiej. Żołnierz amerykański winien sobie uświadomić, że ci, którzy teraz tak wyglądają niewinnie w ubraniach cywilnych, są tymi samymi, którzy są odpowiedzialni za wręcz niewiarygodne okrucieństwa popełniane w Dachau, Buchenwald i innych obozach. Postęp ku stałemu pokojowi niewątpliwie będzie opóźniony, jeśli ci ludzie znajdują sobie nasładowców i wyznawców pośród oddziałów amerykańskich.”

Bardzo słusznie i pięknie! I może miałyby to nawet pewien skutek, gdyby nie fakt w powyższej przestrzedzie nie uwzględniony, mianowicie, że żołnierz amerykański „okazuje przyjaźń” nietylko Niemcom co Niemkom. Ładna i atrakcyjna Fräulein nawet wspomnieć nie potrzebuje o tym, że nie mordowała i nie męczyła nikogo w Majdanku i Oświęcimiu, i tak przyjaźni jej będzie gotów zaprzysiąc każdej chwili, że jego Hannelore czy Marlene zawsze „była przeciwną”. Natomiast obawiać się należy, że propaganda „błędnych uprzedzeń” do różnych narodowości znajdujących we Franleinach zręcznych pośredników, szczególnie, że co ładniejsza z nich od dawna nauczyła się po angielsku. I nie może ulegać wątpliwości, że jest to w pierwszej linii propaganda antypolska...

Dotykamy tu jeszcze jednego bolesnego problemu, z jakim stykać się wypada w Niemczech na każdym kroku. Problemem tym, to polscy „DP” (= displaced persons, tj. wysiedleni i wywiezieni), mieszkający w mniejszych czy większych obozach, zazwyczaj w dawnych koszarach, w różnych miastach na terenie całych Niemiec. Gdy w Polsce potrzeba każdej ręki do roboty, ponieważ wróg — właśnie Niemcy — umiagają się do Amerykan — zdołał zdziśiatkować nasz naród, tutaj dziesiątki, a nawet setki tysięcy Polaków widać się bezczynnie po kraju lub zapadają w marazm gromadnego życia koszarowego w obozach. Dlaczego nie wracają? Boją się „fatalnych warunków mieszkaniowych” a mieszkają po kilka osób, a nawet nieraz po kilka rodzin w jednym pokoju. Boją się „niedożywienia” a żyją na łaskawym — a to zawsze znaczy gorzkim chlebie amerykańskim — i nieraz klną żupkę obozową, przypominając żywo Oświęcim. Marzą o jakiejś niesłychanej „wolniści” — a tymczasem skrepujami w wstrząsającą górę przepięsioną i żyją w zacieśniającej się zwolna petli powstającego z popiołów życia niemieckiego, które postawiło sobie za cel, by ich — z jakąż, ach, rozkoszą — udusić w swoim uślesku. Uważają za swój obowiązek przeciwstawić się jakimś urojom „nowym porządkom socjalnym”, a sami nie posiadają nic oprócz — naogół amerykańskiej — koszuli na grzbiecie i nędznego zawiniątka w rękę.

Nie ulega wątpliwości, że w ostatnich chwilach wojny, w pierwszych tygodniach totalnej okupacji, ci zawleczeni tutaj przeciwko swej woli Polacy „odgrzali się” na znieawidzonych Niemcach, a pomagały im w tym dzielnie wojska frontowe. Bo frontowy żołnierz amerykański nie miał tych złudzeń co do Niemców, jakim ulega jego pokojowy kolega i następcą, który nigdy nie sisyłał bitewnego zwycięstwa. Dziś ci polscy „di-pi” są biednymi, nędżnie ubranymi, rozleniwionymi, zdemoralizowanymi, zbala-mucyoniymi wykołowcami. Na nich to elegancja Fräulein w wydobytym z „Luftschutzkeller” kostiumie wiosennym i jedwabnych pończoszka, idąc pod rękę z wytwornym Amerykaninem do szynkowego „officers club”, do którego „di-pi” wstęp jest wzbroniony, wskazuje palem. Oni to reprezentują naród polski w oczach amerykańskiego „nawiniaka”, widzącego po raz pierwszy świat i Europę, a którego, jak to pisze Richard Joseph, „armia amerykańska nie potrafiła nauczyć historii” nie tylko Niemiec, ale i Polski.

I jeśli oskarżony Hjalmar Schacht zeznając przed trybunałem norymberskim potrafił jeszcze powiedzieć, że „bez Górniego Śląska wywał istnienie gospodarce Niemiec za niemożliwe”, wyobrazić sobie można, jakie rzeczy kładzie w uszy kochankowi między jedną pieszczotą a drugą — inteligentna i ładna, wysoce ucywilizowana Niemka. I jeśli Wilson i Roosevelt w decydujących momentach historii okazali się tak wiernymi i rozumiejącymi przyjaciółmi naszymi, być może, że — w trudnych sytuacjach, przez które Polska nieraz jeszcze przejść będzie musiała — któryś z następców Trumana pochodzący będzie z óródkowska właśnie tych milionów młodzieńców Amerykan, przedchodzących pierwsze oszalałające inicjacje miłosne u hoku uroczą, plowolosej Gretchen.

Kuchnie, w których przyprawia się smak przyszłości, dymią w Moskwie i Waszyngtonie. My Polacy przyjaźni tych dwóch narodów uważamy za szczęście, rozumiemy również, że tylko ona gwarantować nam może spokojne życie i odbudowę naszego zrujnowanego domu. Dlatego z niepokojem słuchamy gruchania niemieckich dziewcząt, które amerykańskim mydłem zmyć chcą z rąk swoich mężów i braci krew Oświęcimia i Treblinki, Bełżca i Warszawy...

Antonj Kawczyński.